

# DO GÓRY BRZUCHEM



I oto nadszedł czas wielkiego wypoczynku. Lato. Urlopy. Wczasy. Miasto leniwieje, martwieją skwarne wawozy ulic, pustoszeją domy, pęcznieją pociągi. Zaczyna się optymistyczny exodus z góry, w morze, w jeziora, w lasy. Kruszy się mała stabilizacja. Ludzie porzucają troskliwie umeblowane mieszkania, wygodne łóżka, higieniczne łazienki. Wymieniają wygodę, nierazko komfort na prymityw namiotu, campingu lub koszarowo-szpitalny luksus FWP. Jeszcze do tego dopłacają. Ba, jakżeż skwapliwie poddają się zabiegowi zbiorowej operacji zdzierania skóry. I wdzięczni są. Bowiemi psychologia wypoczynku nie mniej jest zawila niż psychologia pracy.

Niektórzy wychodzą z założeń, że wypocznik jest dalszym ciągiem pracy. Pogład z gruntu fałszywy i szkodliwy, gdyż traktując wypocznik jako przedłużenie pracy poddajemy go równocześnie procesowi mechanizacji i automatyzacji. Tymczasem im kto pracę ma bardziej złożoną, skomplikowaną, koncepcyjną, twórczą, tym wypocznik powinien mieć prostszy, prymitywny, rzekłbyś pierwotny. Dla cybernetyka, intelektualisty, konstruktora warunkiem idealnego wypoczynku byłby więc biwak w dorzeczu Amazonki, ewentualnie szalas w skalistych górach Australii. Z braku dewiz wystarczylaby egzotyka Mazur, Bieszczad lub Ziemi Lubuskiej. A niestety, jest to najczęstszy wytwórny, szklany, aseptyczny pensjonat w Sopiocie czy Zakopanem.

Domyślasz się już Czytelniku, że sugeruję Ci ruszowski powrót do natury. Tak, dobrze się domyślasz, sugeruję — na jeden miesiąc roku. Na razie jednak pakują walizki (faktycznie torbę, modną) kupują bilet w Orbis i udają się tramwajem na Dworzec Kaliski (w rzeczywistości taksówka, aby nie zmacić przed wyjazdem dobrego samopoczucia). Pociąg już stoi, długi, szary, szczerze wypełniony pasażerami. Kierunek: Wybrzeże. A w każdym przedziale osiem osób, szczęśliwych i zażenowanych wobec tych co na korytarzu — zawiądzonych, rozżalonych, niespokojnych. Wraz ze wzrostem

Dokończenie na str. 4

## Arystarch DWA ZDANIA GENERALA

albo  
brzoskwinie,  
morele  
i coś jeszcze

General de Gaulle nie może się uskarżać na brak kłopotów. Oczywiście, kłopot kłopotowi nierówny. Układ moskiewski, który wywołał tyle nadziei i dobrych uczuć na całym świecie, tylko przez panów Ade nauera i de Gaulle'a został przyjęty kwaśno. Oto, właśnie, dobre zastosowanie lapidarnego francuskiego przy słowia: „Faire bonne mine...“ czyli: Robić dobrą minę do złej gry, zwłaszcza gdy chce się mieć własną niezależną atomową siłę uderzeniową, a tutaj na całym świecie podnoszą się głosy przeciwko zatruwaniu atmosfery i piętrzą się trudności w skali ogólnosiwiatowej.

Ten duży przecież kłopot spadł na generałską głowę ledwie skończył się wcześniejszy, może mniej ważny, chociaż nierównie bardziej dokuczliwy: kłeska urodzaju brzoskwin, moreli, pomidorów i kartofli. Tego rodzaju „kleski“ były i są znane w ustrojach kapitalistycznych. Pamiętamy słynne palenie kawy, żeby nie dopuścić do obniżenia cen rynkowych, pomimo że miliony ludzi można by pokrzepić tym tonizującym trunkiem, albo — zatapiając nadwyżkę zbożowych, pomimo kleski głodu na różnych szerokościach geograficznych naszego globu ziemskiego.

Polityczne zmartwienia generała de Gaulle'a poprzez dziła więc miesiąc temu „kleska“ urodzaju warzyw i owoców. Prawdę mówiąc obfitość plonów przybrała

Dalszy ciąg  
na str. 2

W tym numerze poza ciekawymi pozycjami zaczynającymi się na I stronie warto przeczytać także:

- POWRÓT NA WIES
- FESTIWAL WIEDENSKI
- NIEŚMIALY DYREKTOR
- WYROK ORAZ INNE.

## odgłosy

EWA OSTROWSKA

Trzeci żywioł:

## czzerwony K U R!

Powstaje jakby z niczego, jakby metafizycznie. Aż trudno później uwierzyć, że tak z pozoru niewinnie, śmiesznie, nieomal bez powodu. Aż trudno objąć rozumem przyczyny i — skutki. Zapalka, nie dogazony „pet“, nawet — pozornie niewiele wspólnego mające z trzecim żywiołem, ogniem — szkło, zwykłe szkło, butelka ciśniona po libacji w trawę — i nagle wybuch, błyskawicznie przenosi się z miejsca na miejsce, pożera ludzką wieloletnią pracę, nieraz dorobek całego życia, trawi budynki mieszkalne, i meble, i piekarnice, obrusy, na które oszczędzałeś przez lata, trawi stodoły pełne zboża, pełne złotego ziarna, chleba twojego i chleba bliźniego twego, niszczy całe wiosie, pola cie łak, pół i lasów. Czerwony kur, trzeci żywioł, ogień. Wróg człowieka zajadły od najdawniejszych czasów, wciąż straszny i zachlanny jak w okresie drewnianych miast.

„Lato stulecia“ okazało się drapieżne i niebezpiecz-

ne. Lato stulecia i... ludzka lekkomyślność, nieostrożność — czasem zaś — nie tak rzadko znowu — ordynarny wandalizm. W miesiącu lipcu „lato stulecia“ i ludzie spowodowali w kraju 3526 pożarów, inaczej: ponad 150 pożarów dziennie niszczyło miliony złotych. Pierwsze dni sierpnia przedstawiają się jeszcze bardziej katastrofalnie — 250 pożarów dziennie. Nawet w dniu deszczowym notowano w skali kraju przeciętnie około 70 pożarów dziennie. Ludzie biją rekordy w podpalaniu.

Lipiec 1959 roku, pamiętny lipiec, uważany za szczególnie „gorący“ przyniósł 2200 pożarów. W ciągu trzech następnych lat średnia na lipiec wynosiła 1697 pożarów. Natomiast w tym roku lipiec wyrobił swoją tragiczną normę na dwieście procent. Straty szacuje się na wiele dziesiątków milionów złotych, dobytek narodowy ulatuje z dymem, zostają wypalone czarne przetrzenie lasów, szkielety domów i zabudowań gospodarskich. Zostają też: jeden

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok IV  
Łódź, 25. VIII. 63.  
Nr 34 (286)  
Cena — 1 zł.

sprawca, dziesiątki pokrzywdzonych i ponoszące ogromne straty państwo. A wszystko od jednej iskry, od tego nie wygaszonego papierosa.

Przyczyny zdecydowanej większości pożarów (osiemdziesiąt procent) tkwią w nieostrożności mało zdyscyplinowanego „obywatela“. Cóż to szkodzi, że nie wolno rozpalać ognisk: ognisko wieczorem ma tyle romantycznego uroku. Cóż przeszkadza rzucone szkło, zapalniczka, papierosik? Głupstwo, nie bądźmy przesadni i drobiazgowi. — I lasy płoną. Płoną stogi zboża, płoną wsie. Pożary z premedytacji zdarzają się raczej rzadko. Owszem, w miesiącu lipcu piętnastoletni — jak go nazwać: chuligan, zboczeniec? — podpalił w województwie poznańskim las, zaś później, na dokładkę, zabytkowy, około 1000 lat liczący dąb. Przyczyn romantycznych pożarów statystyki już nie notują, wyszły z mody. Pod koniec osiemnastego wieku zdarzył się taki historyczno-romantyczny pożar, kiedy spłonęło doszczętnie, podpalone przez dziewczynę zawiadzoną w miłości, miasto Reszel. W dziesięć lat później sprawczyńie spalono na stosie. W naszych, cywilizowanych czasach pożary wybuchają z przyczyn żołądziejczych, albo tych „niewinnych“, albo — gdyż i taki odesetek istnieje: z zemsty nad sąsiadem, czy też z chęci zysku, przecież — „PZU ubezpiecza twoje mienie“ — „prawda?... Świadomych sprawców nadsze prawo karze z całą surową bezwzględnością.

Ale niesforobliwego turystę, czy wędrującego autostopowicza znaleźć jest trudniej. Czasem sprawca pozostaje anonimowy. Ten zaś, któremu zostanie dozwiedzone przestępstwo, tłumaczy się: „ja nie chciałem“. Mizerne usprawiedliwienie. W stosunku do winowajców — szczególnie w ostatnim okresie nasilenia pożarowego — zaostrzone zostały sankcje karne i karno-administracyjne. A po-

Dalszy ciąg  
na str. 2

JAN KOPROWSKI

Rozważania o kulturze masowej

## Kilka uwag o kulturze masowej

Czym jest kultura masowa? Czy oznacza ona, że autentyczne wartości kulturalne przekazuje się najszerszym kręgiem odbiorców, czy też, że tworzy się jakaś nowa, łatwa i przystępna, kultura dla mas? Czy może jedno i drugie razem? Przeczyłoby temu podział, jaki utrzymuje się zarówno w opracowaniach naukowych jak i w potocznym rozumowaniu. Podział ten zakłada, że we współczesnych społeczeństwach rozróżniamy trzy rodzaje kultur: kulturę elitarną, kulturę ludową i kulturę masową.

Są książki, które wydają się w bardzo małym nakładzie, przedstawienia tea-

tralne oglądane przez wąski krąg widzów, wystawy malarskie dla znawców, koncerty muzyki, której słuchać mogą ludzie do tego przygotowani. Są to zjawiska charakterystyczne dla kultury elitarniej. Kulturowanie i rozwijanie folkloru (zespoły regionalne, wycinanki, zbieranie gadek i legend itp.) to obszar kultury ludowej. Niektórzy twierdzą, że znajduje się ona w zaniku, inni — przeciwnie, że kultura ludowa przeżywa obecnie swoisty renesans. Co do mnie, sądzę, że raczej mają ci pierwszą. Kultura ludowa wiedzie żywot marginesowy. Oczywiście margines to ważny, ciekawy, nawet niemący,

ale margines. (Czy zauważyliście, że z kart literatury pięknej zniknęła w ogóle gwara, że nikt jej dziś nie używa nawet w dialogu powieściowym? Chłopi mówią w książkach jak inteligenci). Wreszcie — kultura masowa czyli coś, co ma „albo mieć powinno, najszerszy zakres społecznego oddziaływania. Jeśli byśmy powiedzieli, że kultura ludowa jest z istoty swej kulturą chłopską czyli wiejską, to rodowodu kultury masowej szukać należy w mieście. Kultura masowa jest kulturą miejską, wyrosła na gruncie potrzeb rozrywkowych licznych rzesz pracujących w dużych i małych miastach,

Jeżeli o kulturze elitarniej mówimy, że jest to kultura twórcza, która stwarza i rozwija nowe wartości, to o kulturze masowej powiadamy, że jest ona typowo konsumpcyjna, odbiorcza, wchłaniająca. I w tym właśnie miejscu można by podjąć spór. Czy jest, mianowicie, możliwe, aby kultura mogła być tylko twórcza, albo tylko konsumpcyjna? Czy każda kultura nie jest zarazem i twórcza i w jakiejś mierze konsumpcyjna? Kina, jako mięsa zbiorowej rozrywki, zalicza się do kultury masowej. W kinie ludzie tworzą masę anonimową, nie wiadomo, skąd przyszli, kim są, jakie jest ich pochodzenie i

gdzie pracują. Ale kiedy ta „szara masa“ wyjdzie z kina, rozpadnie się na grupy i grupki, powróci — jeśli tak można rzec — do swoich osobowości i zacznie wypowiadać się na temat obejrzanego filmu, wygłaszać swoje opinie i oceny, rola jej nie ogranicza się tylko do przyjmowania, do biernego konsumpcji. Jest to już w jakimś stopniu rola twórcza zbiorowości podzielonej i zindywidualizowanej.

Idealem, do którego dążymy w naszym kraju, jest stworzenie kultury ogólnonarodowej. Należy rozumieć przez to kulturę wspólną dla wszystkich — niestopniwaną i niepodzieloną. Ale to dopiero przyszłość i to ra-

czej dość odległa. Tymczasem mamy coś w rodzaju namiastki — kulturę masową. Są tacy, którzy i na samą nazwę i na jej pojęcie bardzo się zżymają, uważając, że masowość w kulturze pociągnąć musi za sobą obniżenie wartości, niebezpieczeństwo łatwiny i w ogóle szmiry. Zapewne dość jest faktów na poparcie tego stanowiska. Wystarczy przejść się po różnych festynach niedzielnych, przyrzyć się niektórym impre-

Dalszy ciąg  
na str. 2



# „OSTATNI KURS“

I oto znów wszedł na nasze ekrany nowy film polski z serii „kryminalów”. „Ostatni kurs” w reżyserii Jana Batorego według książki Joe Alexa „Śmierć i Kowalski” jest jednym z tych filmów, które mają zapewnić powodzenie u widzów, nawet pomimo upalnej pogody, nie zachęcającej do siedzenia w kinie.

Joe Alex znów umieścił akcję filmu (jest on wraz z reżyserem Batorem współautorem scenariusza) na Wybrzeżu, ale tym razem zrezygnował z pokazywania uroków plaży, kociaków itd. Watkiem filmu jest zagadka morderstw popełnianych na gdyńskich taksówkarzach i tajemnicze powiązania tych zbrodni prowadzące aż do... ale nie może przecież zdradzać zakończenia filmu.

Realizatorzy mając do wyboru stworzenie ponurego kryminału mrozącego krew w żyłach lub filmu rozrywkowego o intrydze kryminalnej, nie traktującego jednak na serio pokazywanych wypadków, wybrali tę drugą koncepcję i myślę, że postąpili słusznie. Dzięki temu przelamywamy gładko wszystkie momenty mało prawdopodobne i śmiejemy się szczerze z makabrycznych scen w drugiej połowie filmu, zrealizowanych ze zrezygnowanym przymrużeniem oka.

W odróżnieniu od wyświetlanego ostatnio „Zbrodniarza i Panny”, w którym przesadnie luksusowe warunki życia przypominały raczej obrazki z filmów zachodnich niż nasze polskie urodzisko — „Ostatni kurs” tkwi mocno w codziennym życiu, nie ma w nim nic nieprawdziwego, obliczonego jedynie na efekt, nie w co nie można by było uwierzyć (oprócz scen świadomie groteskowych).

Należy dodać, że dzięki fachowej konsultacji i współpracy MO obyło się tym razem bez drobnych, lecz kompromitujących potknięć, które zwykle zdarzają się w filmach tego rodzaju świadcząc o tym, że realizatorzy mają w najlepszym przypadku bardzo mgliste pojęcie o poruszanych problemach.

Dalszymi atutami filmu są: dość zrezygnowany obfity, dowcipne dialogi, dobre tempo, no i wykonawcy głównych ról, wśród których Ryska jako uroczą i uwodzicielską piosenkarkę w nocnym lokalu, Emilia Karewicz — demonicznego barmana i Włodzisław Głińskiego świetnego w roli sympatycznego oficera MO. Stanisław Mikulski stworzył interesującą postać młodego kierowca taksówki, który tak boi się, żeby zardzorna narzeczona nie podejrzewała go o zdradę. Dwie ładne i melodyjne piosenki śpiewa Barbara Ryska, a szkoda, że jest przy tym taka statyczna, a operator Antoni Wójtowicz nie potrafił sfotografować ją jako ciekawej tak, że sceny z piosenkami wyglądają trochę nudnie. Zresztą, sceny w nocnym lokalu zostały zrobione w filmie po prostu tandetnie, jakby kierownictwu produkcji żal się zrobiło pieniędzy na większą ilość stoliczków, na statystów, a co gorsza, na jeszcze jedną suknię dla Ryskiej. Wydaje mi się, że można mieć pewne zastrzeżenia do obsady roli zardzornej narzeczony Kowalskiego. Sobolewska nie budzi naszej sympatii, jest tylko irytująca.

Nie obyło się również i bez potknięć scenariuszowych. Konia z rzędem temu, kto wyjaśni dlaczego Kowalski ni stąd, ni zowąd wędruje do „meliny” bandytów, gdzie — och, co za szczęśliwy traf — oczywiście znajduje charakterystyczną zapalniczkę, którą zgubili nieopatrzni bandyci. W książce „Śmierć i Kowalski” tłumaczyła tę sprawę karteczka znaleziona w taksówce, w filmie, niestety, o tym zapomniano, pozostawiając akcję tak koniecznej konsekwencji i logiki.

W sumie jednak otrzymaliśmy film o dobrym tempie, dowcipny, trzymający widza w napięciu, jeden z tych, które tak chętnie witamy w sezonie ogórkowym. Czy film ten wymaga aż tak energicznej i makabrycznej reklamy jaką zaprezentowano nam w Łodzi? Ulicami jeździła taksówka, owiata w płótna, na których namalowano plujące ogniem pistolety z napisem „Ostatni kurs”. Widok jej był nie tyle złowieszczy, ile śmieszny. Podziwiam jednak odwagę pasażerów jeżdżących autem, które zapowiada —

A. S.



JACQUES CHARRIER

**EKRA  
NIK**

**MIESZANKA  
FILMOWA**

**MIESZANKA  
FILMOWA**

W „Mosfilmie” na zamówienie Telewizji Radzieckiej powstaje nowy film o Leninie pt. „Appassionata”. Scenariusz jest dziełem Afinogenowej, Ancezarowa i reżysera filmu Wyszyńskiego. W drugiej co do wielkości wytwórni radzieckiej im. Gorkiego przystąpiono do realizacji filmu o matce Lenina. Scenariusz napisała sędziwa przyjaciółka rodziny Ulianowych, Woskresieńska.

Znana sztuka Dürrenmatta „Wizyta starszej pani” stanowi podstawię scenariusza filmu realizowanego w Jugosławii przez zachodniemieckiego reżysera Bernarda Wickiego. Główną rolę powierzono Ingrid Bergman. Wśród pozostałych wykonawców znajduje się m. in. Anthony Quinn.

Po trzech latach pertraktacji dwaj popularni komicy francuscy — Fernandel i Bourvil — wystąpią razem w filmie reżyserii Gilles Grangiera „Maślana kuchnia”. Film ma podobno wyrwać obu aktorów ze sztampy, w którą ostatnio popadli.

W filmie wg scenariusza Andre Cayatta i w jego reżyserii „Życie małżeństwa” występują w rolach głównych: Marie Jose Nat, znana u nas z „Prawdy” i eksmałżonek B. B. — Jacques Charrier. Film zawiera ponoć daleko posuniętą krytykę instytucji małżeństwa.

Reżyser „Igraszek miłosnych” i „Dowcipniści” — Philippe de Broca kończy realizację komedii „Człowiek z Rio”, w której rolę główną porwanego do Brazylii żołnierza francuskiego gra bohater jego filmów — Jean Pierre Cassell.

A. N.

Myślę, że nie tylko mnie jednemu, ale również i telewidzom zrobiło się w ciągu tego ostatniego tygodnia smutno na duszy, i że ten smutek trwa nadal, uporczywy, gdyż i obecny — bieżący tydzień telewizyjny nikogo ucieszyć nie może. Tak więc powolutku, z dużym opóźnieniem — to lojalnie należy przyznać — doczekaliśmy się nareszcie letniej kanikuly. Ba, za to jakiej! Na piątkę z plusem. Telewizja zaaplikowała nam od razu solidną, podwójną porcję. A już — już zaczynamy wierzyć w jakąś złośliwą odmianę losu w jakichś ciętych niedopatrznie czy rozargnieniu: że jednak w tym roku, Anno Domini 1963 kanikuly w Telewizji nie będzie. Nic z tego spóźnienia kanikula nadeszła jest i panuje — a nam — zamiast być wesoło — jest smutno. Gdyby usunąć z poprzedniego tygodnia transmitowany z Sopotu Międzynarodowy Festiwal Piosenek, to z reszty programu telewizyjnego zostałyby raczej niewiele. Między innymi „Dobranoc” też z telekordingu, powtórzenie po raz — czy ba? — trzeci (jeśli nie więcej). Na szczęście dzieci są bardziej tolerancyjne od dorosłych i wybaczyle Jackowi panu Raciborskiej, że z takim uporem odkrywa dawno nawet przez TV odkryty Ocean Spokojny.

Dorośli zaś powinni byli odnieść się z dużą tolerancją do telekordingowego powtórzenia sztuki M. Pagnola „Pan Topaz”. Z duża przyjemnością i satysfakcją oglądałem po raz drugi ten spektakl, bawiąc się równie dobrze jak podczas premiery. Ale na nim, niestety, skończyła się zabawa i satysfakcja ponieważ potem, w miarę mijających dni i oglądanych pozycji — robiło się Wazemu

## FESTIWAL zamiast programu?



Kowalskiemu — coraz smutniej i smutniej. „Polscy grotolazi na Kubie” — film emitowany w poniedziałek pokazał nam wiele ciekawych rzeczy, również i Kuba tam była i różne interesujące widoki, zabrakło tylko zapowiedzianych w tytule filmu grotolazów, co wszakże nie jest winą telewizji. Winę natomiast wyłączenia pewnych zagadnień najpierw od „a” — następnie zaś od „z”. W rezultacie takiej koncepcji oglądaliśmy w poniedziałek program poświęcony pożarom lasów (notabene w zapowiedziach „Radio i Telewizji” ukryty pod tajemniczym kryptonimem: „program public” — we wtorek zaś — już dokładnie ponoć, wnikliwie i generalnie) — o pożarach w ogóle — czyli „Palace sprawy” Wandy Boddalskiej. W sumie program kłaskawy, nie najlepiej prowadzony. Myślę tutaj, że ważność problematyki poruszonej w tym programie, wymagała głębszego przygotowania i ciekawszej interpretacji telewizyjnej. O ile dobrze pojmuję rolę telewizji, to polega ona nie tylko na „zaliczaniu” aktualnych problemów.

Podzielił swego normalnego poziomu i możliwości okazał się także kolejny numer magazynu publicystyki międzynarodowej, „Radio i Telewizja” tak lansowała w swo-

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

# „Czarny monokl”

Premiery filmów pewnych gatunków odbywają się grupowo. CWF sypie więc ostatnio jak z rożka obfitości filmowymi kryminałami, że dreszcze przechodzą recenzenta, jak znaleźć tyle czasu, ażeby je wszystkie obejrzeć. Nie mogąc obejrzeć wszystkich od razu pozwolę sobie kilka uwag skreślić na temat filmu, który wyróżnia się nie tylko intrygującym tytułem, co przede wszystkim wieloma wartościami udanej groteski sensacyjno-szpiewkowej.

Georges Lautner nie jest jeszcze znanym reżyserem francuskiego filmu fabularnego. Zadebiutował przed trzema laty realizując również kryminał filmowy. Przedtem znany był jako realizator krótkometrażowych filmów dokumentalnych „CZARNY MONOKL” jest jego drugim filmem fabularnym, adaptacją powieści pułkownika Remy pod tym samym tytułem. Fabuła bogata w elementy sensacyjnych spłót i zagadek dotyczy podobnie autentycznej historii zdemaskowania meliny niedobitków hitlerizmu na terenie Francji. Film Lautnera wiąże więc sensacyjno-kryminalną akcję z elementem głębszym — politycznej walki z neofaszystem na Zachodzie. Robi to jednak w sposób groteskowy, podobny w swym charakterze i klimacie do groteski filmowej z Brigitte Bardot „Babette idzie na wojnę”. Nie można wysuwać groteskowego podejścia do neofaszystów jako istotnego zarzutu przeciwko filmowi, którego twórcy byli konsekwentni w stworzeniu klimatu groteski. „Czarny monokl” jest przede wszystkim zabawa, z której widz może łatwo wysnuć jeden, ale wcale niebanalny wniosek o ciągle aktualnym problemie odradzania się faszyzmu. Warstwa ideologiczna filmu Lautnera musiała być ograniczona z konieczności pływających między innymi z samej specyfiki gatunku filmowego jakim jest film kryminalny z całym arsenalem chwytów dramata „gicznych” dominujących nad pozostałymi elementami treściowymi, jakie zawarte są w fabule.

„Czarny monokl” jest filmem aktorskim w całym tego słowa znaczeniu. Kreację aktorską Paula Maurice’a uznać należy za jedną z ciekawszych wśród tych jakie mieliśmy możliwość oglądać m. in. w „Widmie”, „Prawdzie”, „Francuzce i miłości”. Obok niego popularny Bernard Blier w „etatowej” prawie już roli komisarza policji jest niestety taki sam jak w szeregu znanych już filmach francuskich i włoskich. Dawno nie oglądany u nas Pierre Blanchard znany starszym widzom z „Symfonii pastoralnej” i „Jej pierwszego balu” grał w sposób tradycyjny podobny do kreacji jakie stworzył w wymienionych filmach. Wśród kobiet po raz pierwszy oglądamy młodą, może nawet interesującą, ale aktorsko na razie bardzo przeciętną — Elgę Andersen. Na uwagę zasługują w tym filmie zdjęcia Maurice’a Fello — znanego we Francji dokumentalisty, debiutującego „Czarnym monoklem” w filmie fabularnym. Szczególnie interesujące są zdjęcia nocne zamku, w których operator potrafił wydobyc wiele elementów plastycznych służących dramaturgii filmu, choć sam pomysłu filmowania średniowiecznego zamku przypomina fragmenty znanego filmu „Światła na morderce”, gdzie spektakl „Son et lumiere” był dość zasadniczym elementem w akcji wymienionego filmu. W sumie „Czarny monokl” to jeden z bardziej interesujących i dobrze zrealizowanych filmów kryminalnych, które chcąc nie chcąc możemy oglądać w letnim repertuarze naszych filmów.

ich zapowiedziach ten program; że on kontynuować będzie problemy pokojowego współistnienia państw o różnych systemach polityczno-społecznych... „Światowid” rzeczywiście poświęcony został na omówienie ostatniego wydarzenia międzynarodowego: podpisanie układu o częściowym rozbrojeniu, ale jednocześnie „Światowid” ograniczył się prawie zupełnie do powtórzenia znanych nam dobrze z maszy informacji o raz komentarzy. A szkoda, bo to wszystko, z czym nas poznawał „Światowid”, zdażyliśmy zobaczyć sami już tydzień przedtem z pierwszych źródeł. Jeżeli funkcja telewizji ma się sprowadzać do powtarzania relacji prasowych, składam broń, nie rozumiem funkcji telewizji. Zauważyl już Leszek Goliński w „Trybunie Ludu” że głos recenzenta telewizyjnego jest głosem wołającego na puszczy. Ja zaś od siebie dodam, że wszelkie uwagi krytyczne pod adresem telewizji są przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę. Ściana jak widać, wytrzymała.

I na tym należałoby właściwie skończyć rozważania nad telewizyjnym tygodniem. Było jeszcze „Tele-echo”, takie sobie, ani dobre ani złe, kompromisowe — określiłbym — by ponadto reportaż filmowy, przygotowany przez redakcję publicystyki młodzieżowej, reportaż o „słonecz-

nym dniu” wakacyjnym, czyli inaczej, patrzcie, państwo, jak to na obozie ładnie, były jeszcze „Zawodowe śpiewki” z Poznania, owszem, całkiem urocze ładne i lekkie, ale przecież nie zastępujące całego programu telewizyjnego. No i byłbym zapomniiał — Festiwal! Trzy wieczory zapelnione emocjami, ale bez wysiłku telewizyjnego, gratisowe wieczory, ze względu na które — tak przy puszczeniu — telewizja postanowiła sobie ulżyć i odstąpić, wchodząc ze słusznego — ale nie dla nas, telewidzów — założenia, że Festiwal starczy za program tygodniowy. Sądząc zaś po bieżącym programie telewizyjnym, ten Festiwal Sonocki miał dostarczyć nam rekompensaty nie tylko na jeden tydzień, Tym bardziej nam smutno.

KOWALSKI

**odgłosy** str. 3



W klubie płacze stary weteran,  
kulakami oczy wyciera,  
pochlipuje tak, że zgroza słuchać —  
Jak byśmy pokrzywdzili starucha —  
wszyscy;  
baby w mężowych łuciarach,  
przeziębionych dzieciaków chmara,  
co z butelek chlepczą po kątach  
spieczonymi ustami wrzątek,  
skośnobrewy fabryczny posługacz,  
który drewnka na rozpałkę struga,  
i tutejszy lekarz z siwą głową,  
i przyjezdny prelegent — gotowąs...



Zaś na scenie  
wybitej pluszem  
recytuje chór z animuszem:

„I jak baśń wam czas przekaże,  
jak latarni blask we mgle,  
spaskich szturmów noce wraże,  
i woleczajewskie dnie...”

W klubie stary weteran płacze.

Baby patrzą spode łba, sobaczą:

— Wypil dziad!...

— Spać by poszedł, maruda!...

I mrugają:

— Wiadomo, woda.

Tylko ja wiem, że one nie wierzą  
swoim własnym grubiańskim słowom:  
czasem westchną, jak by w sercu kłulo,  
coś mamrocą z pochyloną głową,  
to na malców fukną w rozlęgnięciu  
i wpatrują się w smutnym milczeniu  
w okna białe, skałeczone szrosem  
i wicherzyskiem od traktu szalonym...

W klubie płacze stary weteran

po kolegach,

werepach,

mauzerach...

Przykro mi,

nieswojo mi

i dumnie,

sama nie wiem,

skąd te nagłe dreszcze —

placzą we mnie,

śpiewają pospólnie

łała groźnie

i jasne

na przestrzał.

## NA WSI

Lubię ten dworek wasz ustronny,  
Głuchej wioszczyzny wieczór mglisty.  
Dobiegające z' roś las dzwony,  
Omszały dach i krzyż złoty.

Lubię łąk bujnych zapach silny,  
Gdy w okna wsuwa się oparem  
I eichy, zgodny krąg rodzinny  
Nad nieustrudzonym samowarem.

Lubię też w czas tych posiedzonek  
Staruszek czeplić i binokle  
I talerzyki rozstawione,  
Po gospodarsku, z owsem w oknie



I obok okna na witrynie  
Koszyk z pończochą w lekki deseń,  
I figlarnego kota szpryncę,  
Gdy kłębek wiga w koło krzesel.

Lubię nieśmiałej dziś wnuczeńki  
Stateczne powiek opuszczenie,  
Wdzięk pensjonarskiej jej sukienki  
I wąskiej, białej rączki drzenie;

Milknących piaszt pożegnanie,  
Młodego nowiu blade różki,  
Szczęk farfuruowych filiżanek  
I bieg leniwej pogaduszki.

Przełożył: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

### ANDRZEJ BRYCHT I ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nie odwracał się. Opuścił  
tylko niżej głowę i czekał w  
nadmie, że sobie pójdą. Ale  
to był dopiero początek...

Teraz rozpoczął popis Barbera.  
Zbliżał się powoli kocim  
krokiem, potem wrzasnął mu  
prosto w ucho: „Rodzina  
wiocha czeka i Zocha!” Re-  
zta aż krztusiła się od  
śmiechu.

„Do płu a, frajerze!”  
„Miaso nie dla ciebie!”  
„Gnojem śmierdzisz...”  
„Wrcaj, skądżeś przy-  
szedł!”

„Krowy ci doid” — krzy-  
czeli jeden przez drugiego.  
„Rąbne pierwszego z brze-  
gu w gebe” — pomyślał, ale  
zrezygnował.

Kiedy odwrócił się w końcu,  
umilkłi nagłe, jakby zdzi-  
wienie ta śmiałością.

Bez słowa minął ich  
i podążył ku drzwiom. Gdy  
zamknął je za sobą, śmiech  
buchnął znowu.  
„Wycwanilo się chłopisko  
w Łodzi, nie ma co...” —  
stwierdził zgodni, nim  
wrócili do zajęć. Po godzi-  
nie o wszystkim zapomnieli.  
No, może nie o wszystkim.  
Niejednemu zrobiło się na-  
raz głupio. Niejeden żalo-  
wał. Nie byli w gruncie rze-  
czy źli.

Ale w nim tego dnia coś  
pekle. On nie umiał zapom-  
nieć. Nie, nie czuł do nich  
nienawiści. Czulił żal. Może  
nawet nie tyle do nich, co  
do siebie, do złego losu.

On urodził się na wsi i na-  
wet ci, którzy go lubili i któ-  
rych on lubił, potrafili mu  
o tym przypomnieć.

Przyjechał do Łodzi, kiedy  
był jeszcze dzieckiem. Pragnął  
się uczyć. Już wtedy fascy-  
nowały go maszyny, ich ta-  
jemnicze, na pozór martwe  
życie. W szkole poznał się z  
nimi. Był pilny i zdolny.  
Został technikiem.

Zaraz po ukończeniu szko-  
ły, tak jak większość kole-  
gów, rozpoczął pracę.  
Zarabiał nieźle. Był zado-  
wolony z siebie, zadowolony  
z życia w mieście.

W ciągu pięciu lat nauki  
i roku pracy zdażył się  
przyzwyczaić do Łodzi. Sześć  
lat to duży szmat czasu.

Miał wrażliwą naturę, był  
delikatny. Pociągala go nie  
tylko technika. Posiadał wie-  
le zainteresowań pozazawo-  
dowych. Pasjonowała go li-  
teratura, sztuka, muzyka. By-  
wał w teatrach i kinach,  
chodził na odczyty, prelekcje  
i koncerty. Chyba właśnie  
możność korzystania z wszel-  
kich liczących atrakcji kul-  
turalnych wielkiego miasta  
zatrzymała go w Łodzi. Bo  
Jan — mówiac szczerze — nie  
chciał jej opuszczać, nie  
chciał wracać na wieś.

W tego klasie było sporo  
„wsiowych”, ale nie wszyscy  
byli tak bezradni jak on.  
Ta reszta szybko wywalczy-  
ła sobie należne prawa. Po-  
trafiła uderzyć pięścią,  
potrafiła drwiną zapalczyć za  
drwinę. Jan nie umiał. Czy  
dlatego musiał wyjechać?

Pierwsze dni w rodzinnej  
wiosce były dla Jana kos-  
marem. Stał się mruklawy  
i osowiały. Z nikim nie roz-  
mawiał. W nowej pracy o-

pociecz w stosunku do tych  
„z gorszego świata”. Dla ro-  
dziców ważne są tylko oceny.  
To że Piotr, Marysia czy  
Pawełek nawymyślali przy  
okazji jakiegoś niedo-  
łędze nie ma najmniejszego  
znaczenia. Złe skutki takiego  
wychowania nie kończą  
się w szkołach średnich. Po-  
kutują później w pracy, czy  
na studiach. Teresa spotkała  
je w Uniwersytecie, spotka-  
ła w „akademiku”. Bolało  
ją to, tak jak Jana. Ale Te-  
resa dostrzegła jeszcze in-

teczka nie interesuje tych  
ludzi. Teresa wiedziała, że  
wykraczanie poza ramy wy-  
tyczonych przez pracę zawo-  
dową czynności, nie jest obo-  
wiązkowe, z drugiej jednak  
strony wiedziała, że to jest  
koniecznością, że jest obo-  
wiązkowe moralnym, który  
powinien wziąć na swoje barki  
każdy uczyony człowiek.

Jan pracuje już rok w ro-  
dzinnej wiosce. Pracuje, ale  
wychowuje swych współoby-  
wateli. Przez ten rok wieś Ja-  
na i Teresy zmieniła się nie-  
długo, poznania. Wreszcie Jana i  
Teresy to dziwna wieś, ale o-  
by było takich jak najwięcej.  
Dlaczego dziwna? — Bo nie  
ma w niej miejsca na nudy,  
mieszkańcy w niej ludzie nie  
ograniczają swych zaintereso-  
wań do udziału w zajęciach  
świeclicowych, do słuchania  
radia czy obecności w kinie.  
W tej wsi dzieci uczą się  
dobrze. W tej wsi młodzież  
korzysta z biblioteki, zasta-  
da w powiatowej czytelni. W  
tej wsi chłopak z książką w  
kieszeni to obrazek pow-  
szedni.

Niedawno temu odbyła się  
w świetlicy premiera „Wese-  
ła” Wyspiańskiego. Teresa i  
Jan potrafili zorganizować  
amatorski zespół teatralny.  
Nie było to łatwe, ale wy-  
tworzył się obrzymi entuz-  
jazm poparty pracą i uporem  
Teresy, Jana i całej młodzie-  
ży.

A na premierze? — ho, ho.  
Frekwencja wspaniała. Dum-  
ni są rodzice ze swoich sy-  
nów i córek. Bardzo dumni.

My zaś — ze swojej strony  
— wcale nie zamierzamy ci  
wzmawiać czytelniku, że ta  
wieś jest samowystarczalna.  
Kina panoramycznego ani ha-  
li sportowej nie znajdziesz tu.  
Jasne. Ale przypatrz się tyl-  
ko dobrze ludziom, zobacz  
jak spędzają wolny czas, wy-  
kryj po co też idą do miasta.

My już wiemy. — Kierow-  
nik pewnego Domu Kultury  
powiedział nam, że stanowią  
oni przeważający procent o-  
becnych na każdej prelekcji,  
na każdym odczycie. Zresz-  
tą ten kierownik utrzymuje,  
że w ogóle społeczeństwo wsi  
jest aktywniejsze, kultural-  
niejsze od miejskiego, które  
awansowało już tak „wysoko”,  
że zainteresować je może  
tylko Marino Marini lub  
22-metrowy wieloryb marki  
„Goliath”.

Tak więc Jan i Teresa po-  
trafili w ciągu krótkiego cza-  
su zmienić swoją wieś, i tru-  
dno przypuszczać by podob-  
ni im ludzie nie mogli do-  
konać zmiany oblicza całej  
polskiej prowincji. Tak, wy-  
starczy trochę inicjatywy  
i dobrej woli oraz trochę... o-  
leju w głowie.

### Zapaleniec (II)

# Powrót na wieś

\*\*\*

W pociągu ochłonił. Zaczął  
analizować na zimno  
przyczyny zatargu z kolega-  
mi. Dla usprawiedliwienia  
ich wzmawiał sobie grzechy  
jakich nie popełnił.

„Może rzeczywiście premia  
należała się Barberowi” —  
myślał.

Ale nie miał racji. Nagro-  
da należała się temu.

Wiedział o tym również do-  
brze, jak tamci. To, że po-  
myślał o Barberze, wynikało  
z chęci wytłumaczenia włas-  
nej słabości, nieodporności  
psychicznej.

Bo Jan cierpiał na para-  
doksalny kompleks prowincji.  
Nabawił się go w pier-  
wszych latach nauki w te-  
chnikum. Teraz wiodł go z  
sobą pociągami na „wioche”.

Zawdzięczał go kolegom, któ-  
rzy z jednej strony szczerze  
współczuli dyskryminowa-  
nym amerykańskim Murzy-  
nom, z drugiej znęcali się  
nad nim moralnie, jakby w  
ten sposób chcieli sobie zre-  
kompensować brak niewol-  
nictwa w Polsce.

Niejeden Jan reprezento-  
wał wieś polską w szkole.

\*\*\*

graniczał swą inicjatywę tyl-  
ko do zawodowych obowiąz-  
ków.

Kiedy poznał Teresę wszyst-  
ko pociążyło się inaczej. Zaple-  
niona dawnym, młodzieńczym  
entuzjazmem.

Ona przyjechała na prowinc-  
ję zaledwie rok temu. Uczy-  
ła się w wiejskiej szkole. Po-  
dobnie jak Jan interesowała  
się literaturą, sztuką, nawet  
polityką. Szybko znaleźli  
wspólny język. Na rozmowa-  
wa spędzali wszystkie wolne  
od pracy godziny. I wtedy  
zrodził się w nich projekt  
zmiany oblicza wsi, projek-  
tu, zmodyfikowania metod  
wychowawczych w szkołach,  
zakładach pracy, świetlicach.

Teresa potrafiła przekon-  
nać Jana, że Barber i jego  
koleżdy byli winni tylko po-  
części, że decydujący wpływ  
na ich stosunek do Jana i je-  
mu podobnych mieli ludzie  
z miasta, rodzice, którzy źle  
wychowywali swoje dzieci, któ-  
rzy potrafili im zaszczyścić po-  
jęcie o wyższości urodzenia  
miejskiego nad wiejskim,  
którzy z godnym najwyższej po-  
gardy spokojem wysłuchiwali  
opinii pedagogów o karzgod-  
nym zachowaniu się swych

ne przyczyny zła. Tkwią one  
także w niewłaściwym wy-  
chowywaniu dzieci w szko-  
łach wiejskich i małomiastecz-  
kowych. W nich to — zda-  
niem Teresy — należy wpa-  
jać dzieciom poczucie god-  
ności osobistej, poczucie rów-  
ności społecznej, koleżeń-  
stwa i braterstwa.

Tak wychowane dziecko po-  
trafi odparować ewentualny  
atak „szowinizmu”, zarówno  
w szkole jak i w uczelni, za-  
równo w Warszawie, jak i w  
Łodzi.

Jan zgadzał się z młodą  
wychowawczynią zupełnie.  
Zgadzał się także z jej spoj-  
rzeniem na inne dotyczące  
prowincji kwestie.

Bo Teresa twierdziła na  
przykład że i ona, i Jan i  
cała reszta — każdy z pracują-  
cych na prowincji młodych  
lekarzy, nauczycieli, techni-  
ków, inżynierów — jednym  
słowem każdy z młodych in-  
teligentów winien wziąć ud-  
ział w zmienianiu kolo-  
rytu kulturalnego polskich  
wsi, osad, małych miasteczek.  
Najczęściej tak nie jest.  
Większość myśli tylko o swo-  
jej pracy zarobkowej. Poziom  
kulturalny wioski czy mias-

### informacje zaczepki

Z przyjemnością donosi-  
my, że Powszechna Spół-  
dzielnia Spożywców w  
Zgierzu zafundowała mia-  
stu piękne Technikum han-  
dlowe o 15 izbach lekcyj-  
nych z internatem na 150  
miejsc. Podarunek ko-  
sztaować będzie 13 milio-  
nów złotych.

Znowu nastal okres „od-  
strzałowy” co lepszych ty-  
tułów prasowych. Dzien-  
nik Łódzki pisze: „Czy  
labeledzi śpiew starej szko-  
ły? Błysk nowoczesnego  
tenisa na rakiectwie mło-  
dzieży”. Przypomina się  
Boy ze swym znamennym  
felietonem „Się! kwiec-  
sty”.

Jak stwierdza Dr Wł.  
Borowski drukowana kie-  
dys w „Odgłosach” a póź-  
niej wydana przez Wy-  
dawnictwo Łódzkie „Gaw-  
rowska legenda” A. Ber-  
kowicza... „cieszy się  
niezasłużoną „popularno-  
ścią”. Złe bywa, jeśli ko-  
muś naukowy aparat ba-  
dawczy nie pozwala pa-  
trzeć bez zacietrzewienia  
na ciekawy i cenny utwór  
literacki. Pozwalał sobie  
dodać, że Berkowicz nie  
napisał rozprawy nauko-  
wej lecz opowieść która, być  
może nie posiada dużych w-  
lorów poznawczych (jakby  
przysłało na poważną roz-  
prawę), ale jest napisana  
interesująco, demaskuje  
pewne mity związane z  
rodami fabrykanckimi, i  
coś robić, jest popularna.

Ogólnopolski Komitet  
Frontu Jedności Narodu  
przyznał kilkunastu lo-  
dzianom odznaki Tysiąclecia,  
aby wymienić wszystkich.  
Postąpmy więc po kuno-  
tersku. Z dziennikarzy i  
działaczy kultury odzna-  
czono: Zofię Podolską, Hen-  
ryka Rudnickiego, Kazimie-  
rza Zygmunda, Edwarda  
Szustera, Wojciecha Boc-  
kowskiego, Regine Elkan.  
Wszystkim wymienionym  
przez nas i nie wymie-  
nionym serdecznie gratu-  
lujemy. Gratulujemy rów-  
nież nie odznaczonym, a  
równie zasłużonym pisa-  
rzom, którzy od dziesięt-  
nastu lat tworzą i dziala-  
ją na naszym terenie.

J. W.

# Dobrze jest, czy źle?

SZANOWNY PANIE  
REDAKTORZE!

Wierzę, że mi pan ten list wydrukujecie, ponieważ widziałam pana na ostatnim meczu naszego LKS ze stoleczną Legią. Wnoszę stąd, że interesuje się pan sportem, zresztą wygląda pan na byłego piłkarza. Jeśli to prawda, że był pan piłkarzem, to muszę pana pochwalić, spisuje się pan lepiej od innych byłych piłkarzy, ponieważ nie udaje pan niezastąpionego trenera, a wziął się pan uczciwie do innej pracy.

A więc i pan wziął naszych chłopców, naszych pieszoszoków, w walce z warszawskimi legionistami. Kompromitującą widowisko, prawda? Przegrana się rozumnie — w wielkim stylu, godnie, po zwyciężonej walce, przegrana się także nie pokazawszy nawet twarzy. Tak właśnie przegrał LKS, nasi piłkarze nie mieli twarzy, głowa też nie mieli. Rzecz prosta, nikt kto rozsądny, nie może obciążać młodzieńczej drużyny za dość wysoka przegrana, drużynie należy raczej współczuć tym więcej, że widzieliśmy dużo dobrych chęci. Jeżeli więc młodzi piłkarze grali bez koncepcji, to znaczy, że nie ma żadnej koncepcji ich trener, czy trenerzy. Po cóż tę smutną prawdę owijać w bawełnę? Po cóż pisać tak pokrętnie, gmatwać, unikać prawdy. Po cóż krzywdzić piłkarzy, jak to czyni pan W. K. Sprawozdawca sportowy „Dziennika Łódzkiego”. Pisze on tak o meczu z Legią: „LKS wprowadził system 1-4-2-4, co nie jest zresztą wynalazkiem łódzkim. Rzecz jednak w tym, że młodzi chłopcy nie opowiedzieli tego schematu taktycznego”.

Widzi pan redaktor jak to jest? Trener, czy trenerzy wykombinowali cały schemat taktyczny, zrobili swoje na piątce, to tylko piłkarze nie zrozumieli trenerów, nie przyswoili sobie schematu? Z tego wynika, że myślenie trenerzy trafiło na bezmyślnych piłkarzy. Nie jestem pewien, czy tak jest, ale też nie wiem jak jest na pewno. Natomiast wiem na pewno, że zabieg trenerów, ich plany, techniki treningowe zyskały większą rangę niż tajemnica państwowa. Gdyby bowiem np. warszawscy legionści wiedzieli coś o planach strategicznych, to mogliby wygrać nie 4:1, ale na przykład 6:0.

Lecz, co gorsza, niektórzy dziennikarze sportowi, radzi by rozbroić psychicznie również i bardzo zainteresowaną opinię społeczną. W tymże samym, niedzielnym numerze „Dziennika Łódzkiego”, znany przecięt i skądinąd ceniony dziennikarz sportowy Wiesław Kaczmarek, w artykule „Uczucie i rozsądek” zaleca miłośnikom sportu, aby się opowiedzieli, nie szukali dziury w całym, niby nie dziwi się im, niby usprawiedliwia, ale w gruncie rzeczy odradza poszukiwanie konkretnych winnych. Ja się zgadzam, drogi panie Redaktorze, że zakochany w sporcie kibic często bywa niesprawiedliwy, powoduje nim naprawdę szersze zainteresowanie swoimi pupilami, powoduje jednak i co innego. Przeciwny kibic, ten właśnie, który robi kase, lata budżet klubowy, nie jest informowany, gdyż nasza prasa także stosuje w swojej informacji osobliwe schematy taktyczne, których nikt nie jest w stanie zrozumieć. No, bo jeśli jest dobrze, to dlaczego jest źle?

Miłośnik sportu niewiele wie o naszych trenerach i jak to się pięknie, po europejsku mówi — selekcjonerach. Wie, że jest ich około trzydziestu, ale nie wie, co oni umieją, jak są wykształceni, co wiedzą o nowoczesnym futbolu, przeciwieństwie takich spraw nikt nie dyskutował. Można pisać publicznie, że nie wszyscy nauczyciele pracują nad sobą, wycyka się pracownikom nauki, że stoją w miejscu, atakują się ostro kadry kierujące przemysłem, to tylko tu niczego nie wolno. Przeciwny kibic, nawet ten, który w żalony sposób zależe się po przegranych meczach, wie ile kosztuje ligowy gracz, więcej, na pewno wię-

Dalszy ciąg  
ze str. 1

zmęczenia uczucia tych z korytarza będą się potęgowały, aż gdzieś w połowie drogi przerodzą się w nienawiść do tych, co byli szybsi, mocniejsi, bardziej zapobiegliwi. Byłem tym w środku. Pod wrogimi spojrzeniami tamtych z korytarza czułem się jak zbity pies, dręczyły mnie wyrzuty sumienia: ustąpić miejsca starszej pani czy nie ustąpić? Niebawem koniec temu moralnemu rozdwojeniu jaźni położył konduktor, który w Kutnie otworzył trzy puste zarezerwowane rzekomo przedziałami. W powietrzu zaszeleściły i zabrzęczały dowody wdzięczności z mordowanych pasażerów. Indywidualny właściciel Polskich Kolei Państwowych zgarnął je (owe dowody wdzięczności do muszli swej ręk i ulotnił się szybko, a skutecznie).

Zmęczeni pasażerowie z korytarza osądzili jego czyn jako gest humanitarny, gest człowieka łamiącego bezduszne przepisy PKP, narażającego się dla nich, pasażerów, dobra. W istocie natomiast konduktor zademonstrował najbardziej wysublimowaną formę przestępstwa gospodarczego. Polega ona na wyłudzeniu pieniędzy przez stworzenie tzw. sytuacji przymusowej. Pasażer osaczony, wpędzony w sytuację przymusową, stojący godzinę lub dwie na korytarzu gotów jest wiele zapłacić temu, który go wyzwoli. Na szlaku wielkiego wyciecznika spotkałem się dość często i pod różnymi postaciami z zastosowaniem owej subtelnej metody wyłudzenia...

A teraz rozejrzyjmy się, kto z nami jedzie. Ten pan pod oknem z 10-letnim synkiem to robotnik z Zakładów im. Marchlewskiego. Nieopatrznie przyrzekł chłopcu, że jeśli na koniec roku przyniesie świadectwo ze wszystkimi piątkami — w nagrodę pojedzie nad morze. Jada. Pasażer obok, który cały czas czyta namietnie artykuł Werblana na „Nowych Drogach” — to socjolog. Jedzie z małżonką na nadmorskie sympozjum. Dwie młode dziewczynki z podkrążonymi (sztucznie) oczyma jadą do domu FWP w Juracie. Też dobrze. Można się domyślać, że będą stanowiły łatwy tandem dla podrywaczy. Można się do-

ceć niż student. Wie też, że nikt mu prawdy o sytuacji w łódzkim sporcie nie powie, nikt w gruncie rzeczy nie potrzebuje jego rady i pomocy, chyba do wyrównania boiska i utrzymywania porządku na meczach, chyba do dobrowolnych świadczeń materialnych. Wie, że fikcją jest tzw. czynnik obywatelski w sporcie, dekoracją do sztuki, której ekipa kierująca tym, czy innym klubem, weale nie zamierza grać.

Ja, panie Redaktorze, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy mogli rzeczowo podyskutować na temat, co się dzieje w naszym sporcie, gdybyśmy mogli sobie odpowiedzieć na pytanie — czy działaczom sportowym wykorzystanym, potrzebni są dla nasza bezinteresowni? Czy potrzebna jest i do czego — uczciwie informowana opinia społeczna? Niech mi pan Redaktor wierzy, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy mogli się przekonać, że wszystkie moje obawy wywołane są z pała. Byłbym szczęśliwy, gdyby mnie przekonano, że wszystko w LKS i całej sportowej Łodzi jest w porządku. Trenerzy znają nowoczesny futbol, piłkarze otrzymują nagrody za walkę z alkoholizmem. Każdy znający się na sporcie jest ceniony i wysuwany, a niepowodzenia są natury obiektywnej-metafizycznej, jakaś zła passa w niebie, albo kleska nieurodzaju, jeśli chodzi o talenty.

OBSERWATOR

# Do góry brzuchem

myślać, ale nie trzeba, bo to nieładnie. Naprzeciwko siedzi jeszcze jeden pasażer, daleki od stanu trzeźwości. Stara się przekonać pozostałych podróżnych, że lokomotywa posuwa się o wiele wolniej niż reszta wagonów. Wreszcie rezygnuje, wychodzi, wierząc święcie, że następny wagon o wiele częściej zatrzymuje się na małych stacjach i będzie się można tam piwa wzmoczonego napić, zaś przy odrobinie szczęścia może nawet butelka portera się trafi. Być może następnego dnia pojawi się w prasie notatka: „Ob. X. Y. wypadł z pociągu pospieszonego na trasie Łódź — Gdynia. Rodzina prosiła go o odebranie zwłok z kostnicy polikliniki Akademii Medycznej...”

Wczesnym rankiem ładujemy w Gdańsku. Wsiadamy w autobus i pędzimy na oślep ze zgrzytem, chrzęstem i poświstem pośród opadającej mgły zielonych Zula w kierunku Krynicy Morskiej. Istna „Cena strachu”. Spiker radiowy donosi ze spokojem, że w pierwszym tygodniu lipca na polskich drogach miały miejsce 53 wypadki śmiertelne. Nieśmiertelnych nie notowano.

Krynica wita nas kolejkami. Kolejka po bułki, kolejka po pomidory, kolejka po gazety. Bez przesady jest to chyba najpiękniejsza miejscowość nad polskim morzem. Kilku kilometrów plaża wypiętowana szczytami przymurionymi ciablami. „I odtańd kapalem się w wielkiej pieśni morza przesyconej gwiazdami, śpiewnej jak muzyka, pożerałem toń modrą, gdzie pośród bezdroża, zadumany topielec niekiedy przemyska”. To Rimbaud. Zaś Babel dodaje: „Przez ów kształt nie-trwały zwany człowiekiem, pieśń przepływa jak woda wieczności. Zmywa wszystko i wszystkiemu daje początek”.

Dość. Dość morskiej kąpiel, która jest jak poezja i dość poezji, która jest jak morska kąpiel. Nareszcie znalazłem się na lądnej pustyni wielkiego wypoczynku. Zawsząd unosi się nuda. Śmiertelna nuda, nuda piekielnie żalona, haftowana niekiedy szczytnym krzykiem mew i głuchym, tępy szumem morza. I to ma być właśnie ta wielka przygoda lata, o której z nieklamany entuzjazmem marzą przez pierwsze pół roku a przez drugie pół roku smętnie wspominają wypukłopiersiaste urzędnicy.

A. pośród tego kłębowa ja, mizantrop programowy, który nawet u bram rajy nie wykrzesze z siebie młrej porcji zachwyty. Ale jakże tu wykrzesać, kiedy wracając z plaży notuje następujący obrazek. Dwa me-

try od ścieżki w tumanach pyłu i kurzu siedzi na kocu młode małżeństwo z dzieckiem. Obojętni, martwi, znużeni do samych trzewi, grają w karty. Obok faszka po „Jarzębiaku”.

Instaluję się w PTT-K. Pokój dwuosobowy, ściśle dwulóżkowy. Uwaga! Sytuacja przymusowa. Placę 70 złotych za dobę. A za mnie płaci PRL. W Polsce na turyście praktycznie wszyscy zarabiają, tylko państwo dopłaca. Pierwszego dnia oczywiście zgąsło światło, drugiego dnia zabrakło wody do mycia, trzeciego dnia oba żywyli znikają, a ja wraz z nimi. Z Krynicy Morskiej.

Zwiedzam Instytut Ornitologiczny w Sobieszewie i odwiedzam „Czarodzieja z wyspy”. Jest w tym zdaniu wiele dziennikarskiej przesady, albowiem ani w Instytucie Ornitologicznym nie zastaję ptaków, ani wspania nie jest prawdziwą wyspą, ani Czarodziej prawdziwym czarodziejem. Nazywa się Domaradzki i ma w sobie coś z mędrca, filozofa, uczonego. W rzeczywistości jest fanatycznym numizmatykiem, zajadłym wielbicielem książek, zbieraczem bur sztynowych osobliwości, kolekcjonerem rzeczy dawnych, zapomnianych, pięknych i wyjątkowych. Wieczny poszukiwacz, wieczny od krywca sterujący pewną ręką po zawilim labiryncie mądrej historii. Przez 19 lat poszukiwał monet i medali bitych w mennicach Gdańska. Zebrał kompletny zestaw i dowiódł, że miasto Gdańsk nie miało nigdy niemieckich pieniędzy.

Zajrzałem również do DW „Orle”. Pełno łodźmi chorych na spleen „ef-wu-pe”. Niesamowicie ludzie, wiecznie ze wszystkiego niezadowoleni, narzekają na towarzystwo, na pogodę, na brak rozrywek, na jedzenie, na tysiąc i jeden drobniaków, by w następnym roku ponownie starać się w radzie zakładowej o miejsce na wezasach FWP. Zaproponowałem, abyśmy podzie lili się rolami: „Wy w pogodzie ducha i do góry... brzuchem wypoczywajcie a ja będę narzekał”.

W Sopocie powitał mnie z wielkiej reklamowej plan szy wieloryb Goliath i niemniej wielka Dalida. Ponadto elegancki, wielokurortowy tłum ludzi powłóczyjących po sobie oczami a po ulicy — Monte Cassino nogami. Zamiast niezwykłego Goliatha wolałem obejrzeć żywego obszarnika. Przyjechał z Londynu „do wód”. W legalnie zakonserwowanym salonie gry old boye hazardu w trudzie i mozołe zazywali jedynej w swym rodzaju przyjemności. Karty, kawa, pieniądze, mgła papierosowego dymu,

działach, kajakach, motorówkach, rowerach i nartach wodnych. Jachtami, niegdys najbardziej ekskluzywny sport dla najbogatszych, dziś przystępny dla każdego. Jedyny warunek: odrobina chęci i zamilowania. Aż zazdrość człowieka ogarnia, kiedy patrzy jak tym młodym ludziom życie układa się pysznie i bezrosko.

I ostatni etap podróży — Puszcza Piska. Dzika, piękna i dostępna. A z każdego drzewa wyciera maska samochodu, a z każdego krzaka płachta namiotu. Tutaj spędzają urlop mędracy. I ci, których stać na samochód, i ci, których stać tylko na makaron czterojajeczny. Nawet dyrektorzy, ludzie sztywni rozklejają się w tej puszczy. Jedzą konserwy, popijają wodę z jeziora, zmywają naczynia, a z kolei woda i las ściągają z nich nie tylko błędy w wychowaniu, lecz także pozwalają docenić uroki i przekleństwa cywilizacji miejskiej. Sprawność organizacji, wysoka kultura, idealna harmonia współżycia — oto cechy charakterystyczne spotykane wśród wieloletnich „zawodowych” turystów. Turystyka poza tym, że jest wysokogatunkową formą wypoczynku, stanowi jednocześnie świetną szkołę socjalizacji. Nie wątpię, że ci, którzy tak umiejętnie potrafili sobie organizować wypocznik na Mazurach, również dobrze potrafia organizować potem własną pracę.

Szkoda tylko, że związki zawodowe popadły w kompletną skrajność i ulegając powszechnej tendencji, kosztom setek milionów złotych budują wyłączenie komfortowe ośrodki campingowe. Aż do przesyady komfortowe. Spotykałem carapingi z kryształowymi wazonami, puszystymi dywanami i porcelanowymi statuetkami. Prasa codzienna co tydzień niemal donosi (z dumą i zachwytem) o obozach harcerskich wyposażonych w lodówki i pralki elektryczne. Gdyby choć tyko część pieniędzy — tych wydawanych lekką ręką na zbędną, niefunkcjonalną i nie zawsze fortunną pod względem estetycznym dekorację — przeznaczyć na zakup sprzętu turytycznego, na propagowanie aktywnego wypoczynku, efekt byłby niewspólnie wyższy i cenniejszy. Bowiem warunki naturalne dla uprawiania różnorodnych form turystycznych są w Polsce aż nadto wystarczające. Jest jeszcze w naszym kraju wiele zakątków nie tkniętych stopą turysty i wiele osób bywałych za granicą, które kraju w ogóle nie znają i które nie zdają sobie sprawy z tego, jaka ta ziemia jest piękna. Ażeby dokładnie zwiedzić i poznać Polskę całego życia nie starczy. Obliczyłem pobieżnie, iż w ciągu ostatnich paru lat przejechałem po Polsce około 60 tys. kilometrów. To znaczy trzydzieści razy wzduż i wszzer (w tym 35 tys. km samochodem) i znam, niezbyt dokładnie dopiero kilka regionów. Tymczasem utarł się zwyczaj, że pokazano część osób spędza urlop co roku w jednej i tej samej miejscowości. Oczywiście to jest kwestia indywidualnych upodobań, odpowiednich kontaktów, warunków, dojazdu itp. Lecz fakt, że wektory polityki wczasowej nakierowane są generalnie na wypocznik pasywny, ten najbardziej prymitywny z wypoczników, to już nie jest sprawa indywidualna i tego nie da się wytlumaczyć przyzwyczajeniem naszych rodaków do wypoczywania li tylko na leżącym i w dodatku do góry brzuchem.

W Jastarni znów tłumy łodźmi. Jacy oni są prężni i imperialistyczni. Na urlopie. Jadą do Jastarni urlopu jej przedwojenno-powojenną sławą. I dźwięczą na nazwę. Placę bajońskie sumy, wdychają zgnyli zapach nutri (sprowadził je do Jastarni przed, kilkoma laty tamtejszy, przedsiębiorczy proboszcz) i wyjeżdżając stwierdzają uroczyście, że — istotnie — słono ta Jastarnia kosztuje.

Miejscowa Rada Narodowa skrupulatnie strzegąca tubylczych interesów twar do przeciwstawia się jakimkolwiek społecznym inwestycjom na swoim terenie. Uwaga! Znow spotykamy się tu ze zjawiskiem sytuacji przymusowej. Przyjeżdżając do Jastarni skazany jesteś z góry na prywatne locum, prywatny wikt i prywatny opierunek. W miejscowej pralni upranie koszuli kosztuje 30 złotych. Koszt utrzymania jednej osoby od 90 do 160 złotych dziennie.

Lokal „Domu Zdrojowego”, ziele pustką albowiem wstęp na dancing skalkulowano po 50 złotych od osoby. Gorliwi rachmistrze z gastronomii nie zauważyli bowiem, że skład socjalny urlopowiczów już od kilku lat ulega znacznej zmianie. Ci, którzy tam dawniej bywali spędzają dziś długoterminowe urlopy w zupełnie czystej i izolacji państwowych pensjonatów, a ci, którzy jeszcze uchowali wola Morze Czarne albo Lazurów.

Przeciwieństwem Jastarni jest błogosławiona Jurata. Była ona niegdys kapłanką strzegącą świętego ognia płonącego ku czci boga gromów — Perkuna. Aż zakochał się w niej żeglarski Kastris. Zazdrośny Perkun poraził go gromem. Jurata nie chciała przeżyć ukochnego, pobiegła nad morze i rzuciła się w głąbinę, a lzy jej złote, połyskliwe zakrężyły w bursztyn (sto czterdzieści odcieni), który uchodzi do dziś w wierzeniach ludu nadmorskiego za znak przyjaźni i wierności. Litwini zwą go błogosławieństwem morza. Jedźcie do Juraty. W Juracie spędzają przeważnie urlopy żony poetów, a czasem nawet sami poeci.

Pewien pisarz, którego spotkałem na plaży twierdził natomiast, że morze w Juracie (i nie tylko) jest głupie i bezmyślne. Na dowód przytaczał argument, że jest ono nawet rodzaju nijakiego. Nabluźnił, nasobaczył i wyjechał na Mazury. Też z czymś głupim i bezmyślnym, tyle że rodzaju żeńskiego. A ja za nim.

W Giżycku tysiące młodych ludzi: studenci, uczniowie, robotnicy, harcerze, sportowcy. Na jachtach, ło-

KAROL BADZIAK



TADEUSZ GIGGIER

# Franio

Powieść dydaktyczna wg. Boya

Franio był to chłopiec mały,  
ale bardzo już dojrzały.  
Lubił liczyć u siostrzyczki  
różne ukryte guziczki.  
Potem robił sobie randkę,  
bo miał trzyletnią bachantkę.  
Aż mówili ludzie obcy:  
„Oto są dzisiejsi chłopcy!”  
Albo wzdychali zazdrośnie:  
„Co też z takiego wyrośnie...”  
A on patrzył ironicznie  
i się uśmiechał cynicznie.  
Raz, gdy tata siedział z mamą,  
Franio przyszedł ze swą damą.  
I oświadczył: „Moja żona,  
Od wczoraj uświadomiona”.  
Mamunia dostała szoku,  
tato kółki w prawym boku.  
Więc musiał go biedny Franio  
ratować wraz ze swą panią.  
Orzekł, że to jest dziedziczna  
rolka neurasteniczna.  
I że ojcu przejdzie z wiekiem,  
jak będzie mądrym człowiekiem.

Zie jest, gdy ktoś nie docenia  
najmłodszego pokolenia.



# Ernestynka

Powieść obyczajowa wg. Boya

Zyla sobie raz dziewczynka,  
a zwała się Ernestynka.  
Smutek wielki ją przenikał:  
miała ojca urzędnika.  
Widząc, że mu mało płacą,  
pogardzała wszelką pracą.  
Wciąż czytała co się zmieści  
sliczne współczesne powieści.  
Na ucho o niej szeptali,  
lecz gdzie są ci doskonali?  
Nie każda jest taka święta,  
by za to brać alimenty...  
Raz ją ojciec na tym złapał,  
Ze u niej mężczyzna chrapał.  
Straszny w domu wybuchł raban,  
dla sąsiadów była laban.  
Każdy wrzeszczał o czym innym,  
drugiego nazwał winnym.  
Ojciec używał słownictwa,  
że się pozbyła dziewczęctwa.  
Nagle zmienił o niej zdanie,  
i mówił: moje kochanie!  
Bo spostrzegł, że przychwycony  
to jest jego przelożony.  
A że płakała cichutko,  
przyniósł jej indyjskie udko.  
Następnie jeszcze ją miękko  
gładził po polleczku ręką.  
Pospółtu siedli do wina:  
dwóch panów i Ernestynka  
Sześć oglądał malej książki,  
ojciec ukrywał podwiązki.  
Gdy skończyli już libację,  
poszli we dwóch na kolację

Wielu przykrości unika,  
kto ma ojca urzędnika.



Josef Meinrad i Inge Conradi na scenie.  
Foto Fr. Hausmann

STANISŁAW  
KASZYŃSKI

Rokrocznie od połowy maja do połowy czerwca, stolica Austrii przeżywa wielkie dni, festyn sztuk, tzw. Wiener Festwochen. Mówi się i pisze o tym obszerne, przygotowania trwają długo i kiedy fanfary z ratusza i walc straussowski obwieszczają początek, całe miasto przyspiesza oddech. Wia domo z góry, że dopisze słońce, że flagi będą łopotać wesoło i figlarnie, a wiedeńczykom i tłumom cudzoziemców nie zbraknie okazji do artystycznych wzruszeń. Co jak co, ale wszelakie święta i uroczystości potrafią tu obchodzić na schwał z dionizyjskim uniesieniem. Wiedeński rodzi się chyba tylko po to, by rozkoszować się, upajać świętami, a potem, dla odprężenia, trochę popracować. Mimo pewnej celebry, w jaską się to odprawia — częściej i pokora obowiązuja wobec sztuki — nie ma śladu śmiertelnej nudy i znużenia pompa. Bo w tym mieście nie można być poważnym, nie wolno się nudzić.

Miałem niebywałą okazję obejrzeć kilkanaście imprez, przedstawień teatralnych i koncertów, tegorocznego festiwalu. Nie uczestniczyłem w poprzednich, nie mam porównania, ale sądzę, że muzyka i opera nadają niezmiennie główny akcent, że w tej dziedzinie ujawniają się ambicje i namietności organizatorów. Ściąga się zatem najlepszych dyrygentów i solistów, znakomite orkiestry, by przez tygodnie zanurzyć melomanów z całego globu w strumieniu muzyki. By raz jeszcze uświadomić, potwierdzić sobie i obcym, że ojczyzna Mozarta, Schuberta, Brahmsa i Brucknera wierna jest pięknej tradycji muzykowania. Obok Herberta von Karajana, uważanego dziś coraz jednomyślnie za największego dyrygenta świata, Karl Böhm i Collin Davis z Georgiem Solti z London Symphony Orchestra, znakomity skrzypek włoski Zino Francescatti, ośniewający sopran z Bolszoi Teatru Halina Wiszniewska, a dalej Eugene Ormandy i bukarzeszkańscy filharmonicy, fenomenalny śpiewak Dietrich Fischer-Dieskau i wreszcie nasz Stanisław Skrowaczewski, który brawurą w prowadzonym koncercie utworów Igora Strawińskiego wywołał niecodzienny entuzjazm ogromnej, nabitej po brzegi sali. Wymieniłem zaledwie kilka

śpiewaków-solistów, nie licząc muzyków — wirtuozów, recytatorów, 15 chórów i interpretatorów muzyki kościelnej.

Wiedeń jest konserwatywny w sztuce, żyje nadal przeszłością, nie pociąga go eksperyment, nie bawi nowość. Upatruje w tym snobizm nuworyszów czy dziwactwo młodości — zgrzyt w harmonijnej i klarownej strukturze dzieł klasyków. A jednak wbrew tym głęboko zakorzenionym przyzwyczajeniom i gustom zaaplikowano w tym roku silną dawkę muzyki nowoczesnej m. in. w cyklu „Dzieła żyjących mistrzów”. Np. w wielkiej sali Konzerthausu orkiestra symfoniczna Radia Berlińskiego odtworzyła utwory Hansa Wernera Henze pod kierunkiem kompozytora. Wręcz szokujący był koncert wiedeńskiego zespołu „Die Reihe” — prowadził go Friedrich Cerha w sali wystawowej Muzeum XX wieku pośród rzeźb F. Wotruby. Wrażenie jedyne w swoim rodzaju.

Opera zaprezentowała najlepszy zestaw spektakli z repertuaru ostatnich sezonów. Przypomniano piękny spektakl „Pelleas i Melisande” Debussy'ego, wielki cykl wagnerowski w inscenizacji i pod batutą Herberta von Karajana, „Wozzecka” i

innych dziedzinach. W ostatnich latach, niechybnie za przykładem Salzburga z czołówki wielkich inscenizacji teatralnych — nadal kontynuowanych — Maxa Reinhardta, wykorzystuje się skrupulatnie, skwapliwie każdy historyczny zabytek, pałac, zamek czy kościół, by jego tło czy wnętrze wygrać w spektaklu, widoku, wtłoczyć w ramy jakiejś przygodnej, ad hoc montowanej imprezy. Służy to i mimochodem do ukazywania fragmentu sztuki austriackiej czy wiedeńskiej. Np. we włoskim kościele Minorytów dano francuskie misterium „Ludus Danielis” Beauvais z XII w., w Pałacu ks. Eugeniusza tzw. Belwederze pokazywano „Lumieres” na motywach lokalno-historycznych, a na dziedzińcu zamku Kreuzenstein w pobliżu Wiednia odegrano fascynującą serenade z utworami na fanfary i bębny oraz pieśniami kompozytorów XV i XVI wieku.

Oglądając te rzeczy, myślałem sobie, czemu my nie eksploatujemy w takich celach naszych uroczych zabytków. Kiedyś np. za-inscenizowano na Wawelu „Odprawę posłów greckich” J. Kochanowskiego. I zaniedbano. Dumam też, jak to się dzieje, że jakoś nikt dotąd nie wpadł na pomysł inscenizacji „Niobe” K. I. Gałczyńskiego w parku nieborowskim.

Zawiodły mnie natomiast w czasie festiwalu teatru. Zawiodły mnie zresztą zawsze i jeśli dodam, że za najciekawszą sztukę i najlepszy spektakl sezonu śmiem orzec „Jak wam się podoba” Szekspira, to domyślają się Państwo, że rewelacji nie było. Owszem, znakomite rzemiosło, solidna robota aktorska, ale nieprzewentylowane koncepcje, schematy reżyserskie i inscenizacyjne obrośnięte długą tradycją ze scenografią przyporządkowaną założeniom realistycznym. Owszem, wystawia się tutaj z czułością i miłosnym oddaniem starą komedię wiedeńską, Raimunda, Nestroya, nieoczekiwaną młodość przywraca się tym wszystkim pisarzom, także Schnitzlerowi i Molnarowi. Jestem pewny, że nigdzie poza tym miastem nie zabrzmi w sztukach tych starych majstrów poezja, fantazja, przeszłość i teraźniejszość Wiednia. Wystarczy zobaczyć J. Meinrada i I. Conradi w tych blachostkach, aby zrozumić klimat i uroki nadunajskiej stolicy i zrozumieć z kolei, jak trudno odejść od tego wszystkiego.

Honor teatralnego Wiednia ratują scenki piwniczne, wśród nich bardzo ambitny „Atelietheater am Naschmarkt” pod kier. Veita Relina. Z okazji festiwalu wystawiono tutaj „Sztukę chłopięcą” pt. „Hippodameia” A. Wildgansa, napisaną w 15 roku życia pisarza. Z ciekawszych imprez para-teatralnych wymienilibym wieczór poświęcony K. Krausowi, na którym H. Qualtinger, tak jak niegdyś sam autor, czytał fragmenty bodaj czy nie najdłuższej i najtrudniejszej (niezmyślona książka telefoniczna) do wystawienia sztuki pt. „Ostatnie dni ludzkości”.

Ale, powtarzam to już za krytyką, najciekawszym spektaklem festiwalu był wieczór jednoaktówek S. Mroźka (Strip-tease, Na morzu i Karol) zrealizowany jako prapremiera na obszarze języka niemieckiego przez filię „Theater in der Josefstadt”. Mroźka zagrał inaczej niż zwykle się go podawać w Polsce. Absurd i groteskę sytuacji, okrucieństwo i niesamowitość zdarzeń odwijano w zwolnionym tempie, z drapieżnym realizmem środków aktorskich, zakłajając praw dopodobieństwo, możliwość opowieści brutalnej teatru w naszym planie życiowym,

## Nad pięknym modrym Dunajem

VII

# FESTIWAL WIEDEŃSKI

nazwisk z kilkudziesięciostronnicowego programu, sztuka każdego z tych artystów obiecuje niezrównane emocje, a reszta? Reszta wspaniała, porywająca, światowa czołówka, choćby Elisabeth Schwarzkopf czy Ewelyn Lear, którą miałem szczęście widzieć w „Lulu” Albana Berga; łączyła tu kunszt wokalny z talentem dramatycznej aktorki, zniewalającą, tragicznie-demoniczną kobiecość z ekspresją urody i głosu. Takich ról się nie zapomina. Słowem, proszę sobie wyobrazić, muzykowało 12 orkiestr i 11 zespołów muzycznych z 36 dyrygentami ze Wschodu i z Zachodu oraz 31

„Lulu” Berga, „Sen nocy letniej” B. Brittena, dzieła Orffa i Strawińskiego, „Śmierć Dantona” G. von Einem, Serwowano, oczywiście, wspaniałego Mozarta, Czajkowskiego, R. Straussa i innych. Uderzyła mnie nie tylko różnorodność imprez symfonicznych, od koncertu symfonicznego (w tym roku zastosowano system jakby portretowy, prezentacja dzieł jednego kompozytora, np. Beethovena, Prokofiewa czy Dworzaka) i wieczoru pieśni poprzez cykl sonat czy występy instrumentalistów lub koncerty muzyki kościelnej w różnych świątyniach Wiednia. Inwencji tę dostrzec było można także w



Dietrich Fischer-Dieskau  
Foto — Grammophon/Buhs

## Do Redaktora Naczelnego „Odgłosów”

4 sierpnia 1963 roku ukazał się na łamach Waszego czasopisma artykuł Jerzego Witczaka o Dniach Młodości, który nas w istocie rzeczy zaniepokoił.

Autor, nawiasem mówiąc młody człowiek, przekonuje Czytelnika o potrzebie organizowania radosnych imprez młodzieżowych pod hasłem „Dni Młodości”. I słusznie. Tradycja tych dni datuje się od Złota Wojewódzkiego w Radomsku z okazji XV-lecia PRL. Coroczne „Dni” są więc podsumowaniem imprez, festynów powiatowych i miejskich.

Niestusze jednak i nieprawdopodobne są zamierzenia autora w relacjonowaniu faktów z Wojewódzkiego Złota Młodzieży w Spale.

Rzeczywiście upał wypratał wiele figli szczególnie, zdaniem autora, organizatorom spalskich Dni, tzn. Komitetowi Wojewódzkiemu ZMS. Organizatorzy podobnych Dni w Łodzi poradziły sobie inaczej. Tutaj dominowała piosenka i twist.

A impreza spalska była pomysłem wszechstronnie. Począwszy od dwudniowego spływu kajakowego młodzieży ZMS-owskiej Sulejów-Spala, poprzez wiec młodzieży 21 lipca w Tomaszowie i wręczenie w czasie uroczystej sesji Prezydium Miejskiej Rady Narodowej 40 odznaczeń im. Janka Krasińskiego aktywnym ZMS; przywitaniu tegoż dnia na przystani w Tomaszowie uczestników spływu na Dni Młodości i wieczorny karnawał nad Pilicą. O tym jednak nie zdążył napisać. Złot młodzieży 22 lipca w Spale rozpoczął się nieestetycznie ale planowo, a nie jak stwierdza autor po 4 godzinach opóźnienia. Sygnałem do rozpoczęcia przedpołudniowych rozgrywek sportowych był przyjazd spływu kajakowego Sulejów-Spala, a o godzinie 14.30 po krótkim przemówieniu sekretarza KW ZMS rozpoczęła się część artystyczna. Smieszny jest argument autora tekstu: „Pokaż modeli latających nie mógł dojść do skutku, gdyż w rozrzedzonym powietrzu maszyny nie znajdowały oparcia dla skrzydeł”.

Zarząd Miejski Ligi Obrony Kraju w Tomaszowie na pewno zaśmiewa się z naiwności stwierdzonego faktu, ponieważ istotną przyczyną była nieodpowiedzialność wspomnianej organizacji.

Dziwnym i tendencyjnym wydaje się być zestawienie w artykule organizatorów Dni Młodości. Z jednej strony sukcesy - KL ZMS, z drugiej minusy - KW ZMS.

Bezporną tendencyjność po głębia stwierdzenie, że na estradzie nie występował awizowany zespół TZWS. Może niestety jak to się często zdarza, autor artykułu nie uczestniczył w Zlocie. Czyżby autor również zapomniał o mającym wystąpić zespole muzycznym KD ZMS Górna z Łodzi, który był w Spale, a nie występował... z powodu „upału”. Ale to nie przez zapomnienie przedstawiano realia. Dużą rolę odegrało tutaj niedoświadczenie publikującego materiał.

„Dobrze, że mogli obejrzeć chociaż występ zespołu Estrady Sieradzkiej...” i jeszcze jedna gafa autorska, gdyż występował zespół Młodzieżowej Estrady Łęczyckiej.

Artykuł naszym zdaniem w swej treści winien uwzględnić krytykę skierowaną pod adresem Zarządu Miejskiego LOK w Tomaszowie za zbagatelizowanie pokazów modeli latających pomimo dostarczenia przez organizatorów eteru, MKKF w Tomaszowie, który za pokazy ciężarówco-żądzał w ostatniej chwili wyplatania diet, KD ZMS Górna z Łodzi, którego zespół muzyczny nie występował z przyczyn znanych Wydziałowi Propagandy KL ZMS.

Zadaniem autora było wyciągnięcie wniosków do bezpośrednio winnych za niepowodzenia Dni Młodości, co byłoby niewątpliwie pomocą dla organizatorów w przygotowywaniu następnych imprez tego typu.

A tymczasem bez zastanowienia omawia się ujemne strony, które odbierają sławę naszym tradycjom w wypadku Dni Młodości - używając wątpliwe oddźwięki wśród naszych Czytelników.

Za Komitet Wojewódzki ZMS Sekretarz KW ZMS (IRENEUSZ UBYSZ)

# Nieśmiały dyktator



Przedstawiamy dzisiaj państwu Yves St. Laurenta, władcę Paryża na rok 1963, arcywładcy mody, dyktatora rządzącego bezkarnie - no i że użyjemy określenia z prasy francuskiej - najwybitniejszego intelektualisty spośród twórców nowej linii.

Wygląd zewnętrzny: młody, jakby anemiczny chłopak, o niezwykle bladej, pociągłej twarzy i nieśmiałym uśmiechu pensjonarki. Zalawione nerwowo oczy ukryte za ciężkimi okularami. Ubrany zawsze ciemno. Długie blond włosy zaczesane aż na koltierz koszuli.

Sposób bycia: nieśmiały w stosunku do kobiet. Skłonność do niekontrolowanych rumieńców. Głos ściszony prawie do szeptu. Zawsze ten sam melancholijny gest wypięgniętych rąk.

Zyciorys: w dzieciństwie Yves zamiast bawić się w Indian, z każdej szmatki, która mu wpadła w ręce robił lalkę i stroił ją w sposób przeraźliwy. Te zabawy trwały aż po siedemnasty rok życia, kiedy to St. Laurent zdobył pierwsze miejsce na konkursie jednego z kobiecych pism na projekt sukni balowej. Za pieniądze otrzymane

w nagrodę wyrusza do Paryża i mimo nieśmiałości umie trafić ni mniej ni więcej tylko do samego Diora. A w parę miesięcy później zostaje zaangażowany przez Diora na głównego doradcę do spraw mody kobiecej. Kariera jak z bajki. Młody, nieśmiały chłopak z prowincji, od pierwszego dnia okazuje się twardym i bezlitosnym szefem. Ma własne koncepcje, po co mu tradycja i rutyna?

Umiera Dior i na swego następcę wyznacza Yves St. Laurenta, który jeszcze nie skończył 22 lat. Właśnie zostaje powołany do wojska i

jego przeciwnicy w firmie uznają, że nadszedł moment właściwy, by się z młokosem rozprawić. Yves traci stanowisko, nikt mu nie zaproponuje powrotu do firmy.

To było przed paru laty. Dziś St. Laurent jest współwłaścicielem ekskluzywnego salonu mody w Paryżu, a po zdemontowaniu ostatniej swej kolekcji jest i uznanym na paryskim bruku dyktatorem haute couture.

„Pracować u Diora to było rzeczywiście bardzo pouczające - powiedział niedawno Yves - byłbym kłamać, gdybym się dziś nie przyznał, że dymisję odczułem wówczas jak ciężki cios. Ale później okazało się, że to dla mnie prawdziwie błogosławieństwo”.

Na rewaliach mody Yves St. Laurenta bywa zgrybiała Helena Rubinstein - ta od kosmetyków - i Zizi Jeanmaire, najelegantsza aktorka Paryża. Bywa wielka Callas i sknerowała księżna Windsor. Nie bywa Brigitte Bardot, która uważa, że suknie z wielkich kolekcji są dobre tylko dla „byłych” kobiet. „Ca fait du meme...” To dobre dla babci - i kupuje suknie tylko w domach towarowych.

Yves St. Laurent robi na swoich kreacjach fortunę. A konkurencja w branży jest ogromna i każdy pokaz, każda nowa kolekcja oznacza walkę i zmusza do napięcia nerwowego doprowadzonego do ostatecznych granic. Tu kłę-

ska byłaby katastrofą, z której nie sposób się zdźwignąć. Na razie jednak przychodzi nie kłęski a sukcesy. Czemu zawdzięcza je Yves St. Laurent? Swej śmiałej wyobraźni? Talentowi? Instynktownej znajomości psychologii kobiecej? Hazardowej decyzji zerwania z tradycją i szukania nowych ekscentrycznych rozwiązań?

A może i własnemu czarowi? Czy stara Helena Rubinstein, tak jak inne leciwe babska sprawujące straż wokół głównych ołtarzy mody - czy więc te, jak mówi B. B. „byłe” kobiety” mogą oprzeć się dziwnemu urokowi młodego, nieśmiałego i zaleźnionego chłopca?

Ziołowi twierdzą, że Yves St. Laurent nim jeszcze odkrył tajemnice współczesnej mody, już znał inne, bardzo szczególne - siabostki bogatych, starzejących się kobiet. I stąd jego poza na nieśmiałość. Ślad legenda o ascetycznym trybie życia, o melancholijnej i romantycznej samotności.

Tak czy owak w roku 1963, po pokazie, na którym zjawilo się 850 dziennikarzy, ten piękny chłopak wspiął się o parę szczebli wyżej po drabinie kariery.

„Właściwie liczy się St. Laurent” - westchnął jeden z finansowych bossów Diora obejrząwszy ostatnią kolekcję. I dodał - „Wygląda na to, że zrobiliśmy fenomenalne głupstwo”.

Z tym sądem zgadza się cały Paryż.

Wiele lat temu, w czasach mego dzieciństwa, uwielbiałem doktora Roberta Temple. Jako młody człowiek poznał on na wylot cały Dzik Zachód, wszystkie chybki jego miasteczka wyrastające w owe lata jak grzyby po deszczu, brał udział we wszystkich chyba Wielkich Wędrowkach - i na starość został ulubieńcem takich jak ja wyrostków, bo mógł nam opowiadać w nieskończoność wspaniałe i zapierające dech w piersiach historie owych awanturniczych lat.

Pewnego dnia doktor był w bardziej niż zwykle filozoficznym nastroju, a ja dzięki temu, że umiałem cierpliwie czekać usłyszałem inną niż zazwyczaj historię: powtarzam ją tak, jak utrwaliła mi się w pamięci, we własnych niemal słowach doktora Temple.

Zdarzyło się to w owym okresie mych wędrowek, kiedy byłem jeszcze całkiem młodym lekarzem w Kansas. Prawdę mówiąc więcej czasu spędzałem wówczas na wysiadaniu w miejscowym kasynie niż w swoim gabinecie, trawiła mnie bowiem nienasycona ciekawość ludzi i zdarzeń. A tu na Dzikim Zachodzie co dzień spotykałem niezwykłych ludzi: pionierów i awanturników, szulerów i łowców przygód - a także zwykłych wyrzutków społeczeństwa. Do tych ostatnich należał Bill Landl.

Był to typowy zabijaka: wiedziało się o tym od pierwszego wejścia, bo morderstwo miał wyciśnięte, jak piętno, na twarzy. Zimny i okrutny, z szyderczym uśmiechem przylepionym do warg, zastąpił już i w Teksas, i w całym Kansas. Szukał zwady, rozkosz sprawiał mu upokorzenie człowieka, a gdy trafił na kogoś, kto się go nie uląkł, wyciągał błyskawicznie Colta i nigdy nie chybiał.

Ledwie przyjechał do naszego miasteczka, a już rozszalał się pogłoska, że wyniknie z tego strzelanina. Ten i ów wystraszył się i został w domu, tak że w kasynie tego wieczora było mniej chętnych do gry niż zazwyczaj. Bill zjawił się o zmierzchu. Na widok jego uśmiechu zrobiło nam się nieswojo.

W niecałą godzinę później już wynikał zwada. Ofiarą awanturnika padł miejscowy kupiec, niejaki Barton. Nie chciał grać w pokera z Billem - i ten uznawszy to za obrazę sięgnął po Colta. Odegrała się teraz tragedia, której przebieg Bill inscenizował zawsze jednakowo. strzelił w

sufit nad głową Bartona, zmuszając go tym do wyciągnięcia broni. A teraz już był kryty, działał we własnej obronie - i na sekundę przed Bartonem strzelił po raz wtóry. Barton padł twarzą na stół, jego ręce w agonii zaczęły drzeć zielone sukno, a Bill z dymiącym Coltem w garści, szyderczo uśmiechnięty, ruszył powoli ku drzwiom, rozglądając się, czy kto nie sięga po broń.

Dano mu odejść, potem dyskutowano czy Bill jest w porządku, czy rzeczywiście strzelił we własnej o-

- Coś takiego! - zdziwiłem się - A myślałem, że to spokojne miasto.

- Tak jest, ale to sprawa z jakimś przybyszem. Pokłócił się z naszym Tomem Aldermanem i chcą się strzelać.

- Co to za obcy? - A licha go wie. Mówi, że nazywa się Bill Landl.

I tak oto po latach znów natknąłem się na tego zabijakę. Poruszył mnie to do głębi. Bo przypomniałem sobie cyniczne, bezkarne zabójstwo Bartona. Wziąłem zaraz torbę z narzę-

whisky, ręce mu drżały tak, że aż zadzwieczało szkło.

- Nic się nie da poradzić - powiedział - co ma być to będzie.

- Gdzie się będziecie strzelać?

- Na pastwisku, za mias-

tem. Wiedziałem, że na nic są moje perswazje: taki był wówczas czas, tak pojmwano sprawę honoru męskiego. I choć Tom stał na straconych pozycjach - jako spokojny handlowiec nie miał do czynienia z rewolwerem - ambicja nie

jak szczeniście psa. Tom oburącz opierał się o balustradę, twarz miał szczerłą w wysiuku, raz jeszcze powtórzył, że czeka na przeprosiny. I dodał, że został po prostaku obrażony. Tak właśnie powiedział, tego zwrotu użył - „po prostaku”.

Bill już się nie śmiał, usłyszyliśmy jego donośny szorstki głos - „No dalej - że...” - tak powiedział, i już trzymał swego Colta w garści. Padł tylko jeden strzał. A Tom nawet nie sięgnął po broń: jęknął, chwycił się za pierś, upadł na kolana i w następnej sekundzie runął z werandy w piach drogi przed zajazdem.

Bill stał bez ruchu z szyderczym grymasem, który zmienił się w jakiś osłupiały wyraz zaskoczenia. Swym zwyczajem nie schował Colta, rozglądał się dookoła, jakby szukając oczami drogi do ucieczki. Tym razem się przeliczył, w tłumie ktoś krzyknął, że nie tak miał wyglądać pojedynek, ktoś inny zawołał, że to było morderstwo, że Tom nawet nie sięgnął po broń. W następnej chwili ciżba już otaczała Billa ciasnym pierścieniem i wtedy nerwy go zawiadły, spróbował rewolwerem uterować sobie drogę. Lecz w naszym miasteczku mężczyźni nie byli tchórzami i awanturnika błyskawicznie rozbrojono.

Kłęcząc przy Tomie, ktoś zapytał głośno: co z nim? Nie żyje - powiedział. Prosto w serce... Zabrzmiało to jak wyrok, było to czasy szedłego Lyncha, no i Bill został bez ceregieli powieszony na drzewie przed zajazdem.

Nazajutrz pochowano Toma Aldermana. A ja postarałem się, żeby nikt nie dowiedział się o rzeczy dość istotnej: Tom nie został strzelony, a umarł na aneurizm serca, chorował zresztą od dawna. Strzał tego rzeźmieszka Billa, oddany na postrach czy dla fanfaronady wywołał szok i chore serce nie wytrzymało.

Gdybym o tym powiedział wtedy, kiedy tłum rozbroił Billa - pozwolono by mu odjechać w spokoju. Ale ja nie mogłem zapomnieć sprawy Bartona i wziąłem wyrok na swoje sumienie. I tak po latach zostałem sędzią i zarazem oprawcą.

TLUM. B.

DONALD MARTIN

# Wyrok

bronie? Zjawił się szeryf i przeważyle zdanie, że było to zwykłe morderstwo. Zorganizowano pościg. Lecz czy to dlatego, że noc była ciemna, czy może raczej ze względu na złą sławę tego nie chybiającego nigdy rewolwerowca - pościg wrócił rano z pustymi rękami. Bill zniknął z okolicy, przenosił się jeszcze dalej, na Zachód, a zbrodnia nie została ukarana.

W następnych latach, gnany rządząca wówczas powszechnie ludźmi potrzeba wędrowki, dotarłem do Arizony. I tu wreszcie znalazłem miasteczko, które przypadało mi do gustu: było spokojne, a ja odczuwałem już zmęczenie po latach przygód i tułaczk. Ludzie miejscowi też przypadli mi do serca: cechowała ich gościnność lecz zarazem wysoko cenili sobie sprawiedliwość.

Pewnego dnia przybiegł do mnie przestraszony właściciel miejscowego zajazdu.

- Doktorze - powiedział - trzeba by coś zaradzić, bo zbiera się na strzelaninę.

dziami i udałem się do zajazdu, a tam już roilo się od ciekawych i podnieconych gapiów.

Tym razem sprawa wy-dawała się fair, miał to być pojedynek między Billem a Tomem, przeprowadzony z zachowaniem wszelkich przepisów zwyczajowych, rzecz w owych czasach zupełnie legalna.

Tom mieszkał w zajazdzie na piętrze. Poszedłem zaraz do niego. Siedział przy oknie, ze szklanka whisky w ręku. Wygląd jego bardzo mi się nie podobał.

- Zostaw whisky w spokoju, powiedziałem, przecież ci nie wolno pić.

- Muszę się napić doktorze - mruknął nieswoim głosem Tom - Whisky pomoże mi się uspokoić.

- Dlaczego akurat ty chcesz się z nim strzelać? - Obraził mnie. Zrobił to w obecności mojej dziewczyny.

- A wiesz kto to jest Bill Landl? To rewolwerowiec, znam go nie od dzisiaj: jest szybki i zawsze zabija.

Tom znów nalal sobie

pozwalała mu się już cofnąć.

Siedziałem do restauracji pełen złych przeczuć; bo choć miał to być pojedynek, kryło się za nim jeszcze jedno cyniczne morderstwo. Wkrótce ujrzałem i tego rzeźmieszka, po raz pierwszy po tylu latach. Stał przed zajazdem, nic nie zmieniony, z tym swoim uśmiechem na wąskich wargach i z gębą napiętowaną ilu to już morderstwami. Colt u pasa trzymał w pogotowiu.

Po chwili wszedł i Tom. W restauracji zrobiło się cicho jak w teatrze, kiedy pójdzie do góry kurtyna.

Wszyscy się rozstąpili i Tom przeszedł tak jakby korytarzem w grobowym milczeniu, a ja dostrzegłem, jak cały drży nerwowo, jak jest śmiertelnie blady, jak mu posiniały usta. Był już przy drzwiach, głośno zakrzyknął pod jego nogami deski werandy. Przystanął u balustrady. I nagle ochrypłym głosem powiedział, że czeka, kiedy go Landl przeprosi. Zapadła cisza, którą przerwał śmiech Billa ostro,

## „Wdrożeniowiec opakowaniowy”

To nie jest nasz wymysł. Przeglądając rozliczne pismka, jakie krąży między instytucjami przemysłowymi naszego miasta — trafiliśmy na taki właśnie kwiatek.

Co to takiego, czy kto to taki?

Przed wszystkim rzuciliśmy się do bram biblioteki, by przez rzec słowniki gwarowe. Niestety nie tu nie znaleźliśmy. Przeglądaliśmy słowniki techniczne — także bezskutecznie. Wreszcie zajrzeliśmy do słowników i pod ręczników języków specjalnych takich jak np. słownika języka złodziejskiego, który opracował wiele lat temu, nieodżałowany językoznawca prof. dr H. Ułaszyn. I ten zabieg okazał się bezskuteczny.

Zrozpaczeni — udaliśmy się z prośbą o pomoc do pracownika jednego z przedsiębiorstw podległych Ministerstwu Przemysłu Lekkiego, i o dziwo — nasz rozmówca natychmiast nam wyjaśnił, że „wdrożeniowiec opakowaniowy” to nikt inny tylko pracownik zajmujący się wprowadzaniem nowych opakowań wyrobów przemysłowych.

Pytaliśmy o wspomniany termin innych ludzi z przemysłu i okazało się, że wszyscy doskonale wiedzieli o co chodzi. Wszyscy zgodnie wyjaśniali nam to samo co pierwszy zaindugowany.

A czy jest nowy słownik tego rodzaju terminów przemysłowych?

Niestety, żaden językoznawca nie podjął się trudów systematycznego zwołania różnych „wdrożeniowców”. I sądzimy, że żaden nie zechce nigdy podjąć się tej pracy.

# odgłosy TYGODNIA

## Namioty i szkolenie

Proszę sobie wyobrazić, że tak. Namioty pod gruszą, biwak i szkolenie. Gotowanie obiadów w kuchni polowej, celebrowanie degustacji — niekiedy mocno przypalonego krupniku, i bardzo poważne zajęcia, o tym, jak powinna działać w swoim środowisku młodzież. — Na taki to niezwykle ciekawy eksperyment skusiła się tego lata organizacja ZMW. Szkolenia, zajęcia ideologiczne, wychowawcze, ale inaczej. Zrywając z szablonem nudnych kursów, ZMW postanowił dać swojemu aktywowi możliwość spędzenia chociażby tylko dziesięciodniowych wakacji. Młodzież wiejska nie zna wakacji w dosłownym znaczeniu: powietrze, las i woda nie są dla nich żadną atrakcją, mają je bowiem na co dzień, aż do obrzydzenia. ZMW postanowił połączyć pożyteczne z pięknym, i po pierwsze — wyszkolić swój aktyw, a po drugie — nauczyć go racjonalnego — i nie tylko racjonalnego — obcowania z przyrodą. Trochę romantyzmu do poważnych zajęć wprowadzić nie zaszkodzi. Tak powstała idea

szkoleń pod gruszą i pod namiotami, idea o tyle nowa, że do tej pory nikt nie odważył się jej tak masowo przeprowadzić. Na szkoleniowych kursach pod gruszą, poza pełnoturnusowymi obowiązkami ZMW (sportowymi, wypoczynkowymi, i również szkoleniowymi) w ciągu jednego tylko miesiąca uczestnicy czyli tysiąc młodych chłopców i dziewcząt, aktywistów najbardziej wartościowych, bo tych „oddolnych”, z kół wiejskich ZMW i zarządów gromadzkich. Obozy zlokalizowano w najbardziej atrakcyjnych miejscowościach województwa łódzkiego, nad Pilicą i nad Wartą. Tysiące aktywistów wiodło nie ustające dyskusje, zawiązało wzajemne przyjaźnie i sympatie, wymieniło doświadczenia, kolektywnie zatwierdzało nowe pomysły do pracy organizacyjnej. Zajęcia te nie przeszkodziły wielu uczestnikom nauczyć się sztuki pływania albo zdołać być karte rowerową. Masowe szkolenia pod namiotami zdały swój egzamin, i warte są chyba szerokiego naśladownictwa.

## Handel wierzy w cuda

Nie jest żadną tajemnicą, że ze sprzedażą radiodiodników nie jest u nas różowo. Całe hałdy aparatów radiowych zalegają magazyny i salony sprzedaży, na próżno czekając na nabywców. Dlaczego? Ano, dlatego, że zamiast bardzo drogiego radioaparatu ludzie wolą kupić telewizor, nasze radia są za mało nowoczesne i nie najlepszej jakości. Panuje moda na małe radia na tranzystorach — i przemysł oraz handel muszą tej modzie ulegać, bo „nie nosi dla tabakiera, a tabakiera dla nosa”.

Mamy więc w naszych salonach radiowych ładnie wyglądające małe radia „Kolibra”. Poszliśmy kupić taki mikroaparacik do sklepu na Piotrkowskiej przy Więckowskiego. Sprzedawca zademonstrował nam kilka sztuk, trzeba przyznać, że grały świetnie. „Kupujemy” — zdecydowaliśmy. Sprzedawca zabrał się do pakowania, gdy nagle spostrzegliśmy, że pakujemy aparat bez baterijek. „Przepraszamy bardzo” — powiedzieliśmy — „czy baterijki do „Kolibry” można na być w sklepach? „Nie” — odrzekł sprzedawca — „Nie ma ich w sklepach, ja sam mam tylko dla jednego aparatu, który państwu demonstrowałem”.

„Więc, jak to? Kupujemy

aparacik, który nie będzie grał? Coż nam taki „Kolibra”? Żeby go postawić i patrzeć na niego?”.

„A może są u pana akumulatorki do „Kolibry”? Akumulatorki, które włącza się w sieć elektryczną i ładuje”.

„Owszem — odrzekł sprzedawca — mam takie akumulatorki. Ale tylko jeden. Do zademonstrowania”.

Nie wiadomo: śmiać się czy płakać? Nasz handel chce sprzedawać aparaty radiowe, które nie mogą grać. Ależ, takich cudów naprawdę nie uda się dokonać. To tak jakby ktoś chciał sprzedawać samochody, jednocześnie ostrzegając, że nigdzie nie kupi się do nich benzyny (nota bene oleju Ekstra 15 na próżno się szuka w stacjach benzynowych, a bez oleju jeździć nie można).

A jednak handel wierzy w cuda. Swoją wiarę w cuda wyjaśnia trudnościami współpracy z przemysłem. Otóż do dobrego przemysłu nie chce produkować małych baterijek do aparatów na tranzystorach. Nie chce i już. Powstała sytuacja, że jedna gałąź przemysłu produkuje aparaty, a druga nie chce i nie produkuje do nich nieodzownego elementu, baterijek.

My zaś naiwni, przypuszczaliśmy, że u nas jest gospo

## Rady zakładowe i ławnicy

W naszym kraju panuje lu dowładztwo — tak określić można naszą formę ustroju. Oczywiście, nie można sobie wyobrazić ludowładztwa bez udziału mas ludowych w wymiarze sprawiedliwości, a więc w sądach. Dlatego w naszym kraju co trzy lata rady narodowe wybierają ławników do sądów wojewódzkich, powiatowych, do kolegiów orzekających itd. Ławnicy w sądach mają takie same prawa jak sędziowie zawodowi, orzekają co do winy i kary, a ponieważ nieomal w każdej sprawie komplet sędziów składa się z dwóch ławników i tylko jednego sędziego zawodowego, nie trzeba chyba tłumaczyć jak wielki jest udział ławników, a więc bezpośrednich przedstawicieli mas ludowych w wymiarze sprawiedliwości. Nasi ławnicy mają nawet prawo przewodniczyć na posiedzeniu pojedynczym w sprawach karnych prywatno-skargowych.

Kim są ci ławnicy? Są to

ludzie cieszący się w swych zakładach pracy dużym zaufaniem, szacunkiem, poczuciem sprawiedliwości, odznaczający się dużym doświadczeniem życiowym. Robotnicy, inteligencja pracująca, chłopcy... Ludzie ci ani nie są, ani nie muszą być prawnikami, nie muszą także sławać się prawnikami. Ale pewna znajomość prawa i przepisów jest im oczywiście konieczna i w tym celu odbywają się w sądach szkolenia ławników, w tym celu drukowany jest miesięcznik „Ławnik ludowy”. Praca ławnika jest bardzo ważną i potrzebną pracą społeczną, a ponieważ ławnicy to zazwyczaj ludzie nie nabyt wiele zarabiający i muszą się liczyć z każdym groszem, Centralna Rada Związków Zawodowych wysłała z założenia, że rady zakładowe w fabrykach i instytucjach, gdzie pracują ławnicy — winny im zaprenumerować miesięcznik „Ławnik ludowy” w myśl zasady stałego podno-

## SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



## Barbara POŁOMSKA

Utalentowana aktorka teatralna i filmowa — z X Muzą zetknęła się jeszcze w czasie studiów na krakowskiej PWST, debiutując w „Godzinach nadziei” Rybkowskiego. Jej debiutem scenicznym była natomiast rola Elizy w „Pigmalionie” G. B. Shawa grana już w Łodzi na deskach Teatru Powszechnego. Wśród licznych — zarówno komediowych, jak i dramatycznych ról — warto przypomnieć Katerinę w „Angelo tyran Padwy” W. Hugo, Nicky w „Przed maturą”, Arabellę w „Klubie Pickwicka”, czy ostatnio graną Oetavię w „Jaśnie Pan Nikt” Lope de Vegi (patrz zdjęcie).

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

## LADNIE TO TAK?

Już niezadługo — zaraz na początku września poczciwy pan Jan, albo pan Franciszek naciśnie elektryczny guzik i rozpocznie się nowy rok szkolny. Tymczasem jeszcze młodzież nabiera sił, a bardzo odpowiedzialni tatusie remontują plan szkoły. U nas, w Łodzi, plan letnich remontów kapitalnych obejmuje 130 placówek oświatowych, a więc nieomal. Od tych remontów zależy w dużej mierze jak też będzie wyglądał przyszły rok szkolny w 42 szkołach podstawowych, 19 przedszkolach, 14 szkołach licealnych, 16 za-

kładach opiekuńczych, 11 Technikach, 12 Zasadniczych Szkołach Zawodowych itd. Remonty przebiegają lepiej niż ubiegłego roku. Bardzo to chwalebne, ale wcale nie znaczy, że remonty bieżą dobrze. W dniu 5 sierpnia br. zakończono remont 30 placówek, w 36 placówkach wykonano już 90 proc. robót remontowych, w 34 placówkach — 70—80 proc. robót, w 16 obiektach — 50 procent, w 14 placówkach wcale nie rozpoczęto remontu. Na przykład — do 3 sierpnia Spółdzielnia Pracy „Budoremont” nie raczyła tknąć się prac remontowych w Szkole Podstawowej nr 114 przy ulicy Milionowej. Tak się ładnie spółdzielnia nazywa, a nie raczyła, trzeba było energicznie ją budzić z letniej drzemki. W ogóle ulica Milionowa ma pecha. Szkołę Podstawową nr 170 także dopiero ostatnio zaczęto remontować. Pecha ma także Liceum XVIII przy ulicy Perla. Spółdzielnia Pracy, która w żółtym tempie prowadzi remont powinna zmienić nazwę z „Pokoju” na „Święty Spokój”. Wszelkie rekordy bije Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych nr 3, które najzwyczajniej pod słońcem wcale nie remontuje Szkoły Podstawowej nr 136, przy ulicy Ogrodowej. I tak to było w dniu 5 sierpnia. Warto jeszcze

dodać, że niektóre spółdzielnie pracy bardzo się w tym roku rozpuściły. Żądają od szkół, aby im dostarczyły drewna, cementu, papy na miejsce remontu, inaczej nie bawią się. I rzeczywiście w dwóch przypadkach przestały remontować. Ładnie to tak? W tej opieszałości, lekceważeniu, tkwi przecież prawda o tym, jak starsi traktują potrzeby swoich własnych dzieci. Nie zawsze najlepiej.



do druku podać 50 Czerwcowe

## NASTĘPCZYNI MODRZEJEWSKIEJ

Aktorki, zwłaszcza w późnym wieku mają pasję opowiadania o swoich niezwykłych sukcesach. Dowiadujemy się z tych wynurzeń o zachwytach dyrektorów, kolegów i krytyków. Słyszmy o olbrzymich bukietach i koszach kwiatów, o dedykacjach na fotografiach, prezentach. Autor „Gawęd teatralnych” Jerzy Koller był świadkiem takiego samochodowego opowiadania, któremu przysлуchiwała się również młoda i ładna aktorka. Sam jej wiek wykluczał, by mogła kiedykolwiek widzieć Modrzejewską. Gdy starsza koleżanka skończyła narzeczcie swoje opowiadanie, młodsza powiedziała z całą powagą: — Mam fotografie podarowane mi kiedyś przez Helenę Modrzejewską z dedykacją: „Mojej wielkiej następczyni”.

Zapadła nieco kłopotliwa cisza.



## Alkoholizm w Ameryce (II)

Student uniwersytetu kalifornijskiego opracował wiele rozpraw na temat alkoholizmu. Studentka Mary T. Hawks napisała w tej pracy rozdział o poglądach na piąństwo w USA i w innych krajach. W innych krajach umowy i czyny popełniane w zamoczeniu alkoholowym uważane są za nie wykazane. W USA umowy dokonane w stanie piąństwa są ważne. W innych krajach uważa się za oznakę kultury parowanie nad sobą, w USA już od dzieciństwa uczy się „to relax”, czyli — uwolnić się od odpowiedzialności, panowania nad sobą, włączającego decydowania. Alkohol jest jednym ze środków.

Znana nowojorska lekarka i socjolog, dr Anna M. Taylor, opisując aktualną sytuację w amerykańskim życiu publicznym i prywatnym, stwierdza między innymi: „Sztuka rozmawiania, zdolność bawienia innych u nas już dawno wymarły. Czasy, kiedy ludzie schodzili się na rozmowy w wolne wieczory, już dawno przeminęły. Obecnie obawiamy się mówienia, wstydzimy się mówić o tym, o czym myślimy. Język nam się budzi dopiero wówczas, gdy go rozwiążemy kilkoma szklankami”.

## Z przysłów o pijaństwie

Gdo pije, labuje, muzykę płaci, weźmóż go po śmierci anieli rogaci! (ze Śląska Cieszyńskiego)

Pijak pijaka w knajpie znajduje. (tureckie)

Ni to żaba, ni rak, a po prostu pijany durak. (ukraińskie)

Wybrał i przełożył Fr. SWARZYCA

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 88. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ustanosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirid 17, Zam. 2573 VIII 62. K-4